MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVI. Nr. 37 WARSZAWA, 6 WRZEŚNIA 1936 R. CENA NUMERU 80 GR.

PO PROCESIE MOSKIEWSKIM

PROCES moskiewski przed kolegjum wojskowem najwyższego sądu Sowietów przeciwko „obmierzłej bandzie faszystowskich terrorystów „jiduszki" Trockiego i Zinowjewa" i wyroki śmierci na oskarżonych w tym procesie „wrogów proletarjatu", „popleczników Gestapo" są zjawiskiem niezrozumiałem nawet dla znawców Rosji bolszewickiej i ruchu komunistycznego. Jakiemi motywami—oczywiście podyktowanemi celowością polityczną—kierował się Stalin i grupa jego zwolenników, wytaczając sprawę o spisek na obecne kierownictwo partji bolszewickiej — innej grupie w obozie rewolucji, stronnikom Trockiego, Kamieniewa i Zinowjewa? Dla jakich powodów zdecydowano się poświęcić głowy współtwórców rewolucji rosyjskiej? Jakie realne zyski przyniesie „sprawie" komunistycznej stracenie kilkunastu najbardziej jej bądź co bądź oddanych działaczów?

Nie wystarcza dla wytłumaczenia tych niejasności stwierdzenie faktu rozejścia się w swoim czasie „stalinowców" z „trockistami" i przebieg coraz zajadlejszej z biegiem czasu walki obu tych odłamów komunizmu. Gdyby to miało decydować, to zwycięski w rozgrywkach wewnętrzno-partyjnych Stalin dawnoby już skończył ze swymi przeciwnikami, dusząc „kramołę" w zarodku. Było po temu nie mało sposobności. Ostatnią taką sposobnością było zabójstwo w 1934 r. przez opozycjonistów partyjnych, „trockistów" i „zinowjewowców" Kirowa.

Czemu wtedy ograniczono się do wytępienia—wprawdzie w dużej liczbie—podrzędniejszych spiskowców, puszczając płazem winę Kamieniewowi i Zinowjewowi, skazanym tylko na 10 lat więzienia a po dwu latach ułaskawionym? Jeżeliby to miał być podstęp ze strony GPU, zmierzający do zmylenia czujności głównych prowodyrów akcji trockistowskiej, i tem łatwiejszego uchwycenia wszystkich nici spisku, to nawet i w tym wypadku wszczęcie sprawy w obecnych warunkach, gdy rozpoczęła się w skali światowej walka na śmierć i życie między komunizmem i nacjonalizmem, nie miałoby z punktu widzenia interesów komunistycznych dostatecznego uzasadnienia. Wzgląd na mocno zaostrzoną sytuację w jakiej znalazł się komunizm, kazałby Stalinowi powstrzymać gorliwość GPU i rozgrywkę z wewnętrzną opozycją odłożyć do bardziej sprzyjających okoliczności.

Jeżeli tego nie uczyniono to dlatego, że musiały być ważne po temu powody. Ale jakie? Z okoliczności procesu, agitacji przez radio i w prasie sowieckiej można wnosić że aranżerom sprawy sądowej w Moskwie zależało na nadaniu sprawie jaknajwiększego rozgłosu. Propaganda sowiecka reklamowała głośno na wewnątrz i na zagranicę „przewrotną zdradę trockistowskiej bandy" i starała się zainteresować procesem moskiewskim cały świat, nie zważając na złą konjunkturę dziennikarską dla tego rodzaju wiadomości, wobec o wiele bardziej emocjonujących wypadków w Hiszpanji i towarzyszącego im naprężenia europejskiego.

Ten hałas typowo żydowski dookoła sprawy, w której pociągnięci zostali niemal sami żydzi: Trocki (zaocznie), Kamieniew, Zinowjew i t. d., kończąc na skompromitowanym ostatnio Radku-Sobelsonie i Bucharinie, jest zastanawiający. Czy

czasem nie tu należy szukać rozwiązania zagadki samego procesu moskiewskiego? A obok tego należy zastanowić się, czy nie tłumaczy go inna, też usilnie reklamowana okoliczność, mianowicie rzekomy związek spisku trockistowskiego z niemiecką, hitlerowską Gestapo?

Trzy tony zasadnicze dają się wydobyć z kakofonji oskarżeń prawomyślnego, „oficjalnego” bolszewizmu stalinowskiego przeciwko opozycyjnemu „nieoficjalnemu” bolszewizmowi trockistów: Akcent antysemicki. Wrzawa antyfaszystowska. Skojarzenie ich obu w insynuacji współpracy Trockiego z Gestapo; lub raczej naodwrót: niemieckiej agentury faszystowskiej ze zdradą żydowskiego trockizmu, co w postaci najbardziej uproszczonej brzmi: związek „rasistów hitlerowskich” z żydami. Te trzy elementy wciąż się powtarzają. Układają się one w pewien sylogizm, który propaganda sowiecka pragnie wbić jak klin w „twarde łby” tak zw. szerokich rzesz społeczeństwa sowieckiego i niesowieckiego. Cel tej roboty, będący zarazem celem całego fotomontażu z procesem moskiewskim, daje się bez trudu wydedukować. Tym wielkim celem jest obrona komunizmu, jako metody działania światowego żydostwa, przed grożącą mu coraz widoczniej i jak się zdaje, nieuniknioną klęską. Chodzi o ratowanie tego co jeszcze da się uratować. Dlatego już zgóry, na wszelki wypadek, pozwolono na emancypację Stalina spod kurateli Trockiego. Dlatego stworzono stalinowski „*mit*” komunizmu w jednym kraju w przeciwstawieniu do trockistowskiego hasła rewolucji światowej. Dlatego „rozłożono” jak w procesie chemicznym pojęcie „komunizmu” na dwa pierwiastki: komunizmu z określnikiem „międzynarodowy” i z określnikiem „narodowy”.

Gdyby konjunktura była lepsza, niewątpliwie lansowany byłby, jako dalej idący, integralny komunizm „międzynarodowy”. Ponieważ jednak rachuby na pożar światowy nieco zawiodły, zdecydowano się rzucić na rynek towar komunizmu „narodowego”. Pozwolono Stalinowi „zwyciężyć” Trockiego.

Jeżeli nie ma być „swój człowiek“ Trocki, to niech choć będzie „oswojony” Stalin. Zawsze to lepsze niż Hitler, Mussolini, lub hiszpański generał Franco. Niech rządzi Stalin i jemu podobni. Przyjdzie czas, kiedy będzie można go „skończyć”, jak dziś „kończy” Zinowjewych, Kamieniewych i Radków. Wielkie cele wymagają wielkich ofiar. Taką wielką ofiarą jest uśmiercenie komunizmu internacjonalistycznego ażeby tem łatwiej mógł żyć i rozwijać się komunizm „narodowy”. Czasy bowiem są ciężkie. Nacjonalizm szaleje. Antysemityzm hula. Niech więc spadną głowy kilkunastu żydków galicyjskich i kresowych, jakkolwiek zasłużonych dla „sprawy” ale już całkowicie zgranych, skoro uratować ma to głowy i interesy całego Izraela. Niech przekonają się narody gojów, że faszyzm i hitleryzm jest „jednem więcej oszustwem”, i że złudne są nadzieje z tej strony. Nie może bowiem przyjść wyzwolenie od faszyzmu, który — jak dowiódł przecież proces moskiewski — działa w przymierzu z żydowskimi, trockistowskimi agentami „komunizmu międzynarodowego”. Ludom potrzebny jest dziś — komunizm narodowy. Tak zawyrokował Synhedryn.

Strzeżmy się więc komunizmu „narodowego”.

OBSERWATOR

„MUSICA PROIBITA“

I

OSTATNIE miesiące przyniosły nam dyskusję w wiecznie żywej sprawie polskiej historji. Artykuł Stanisława Piaseckiego w „Prosto z mostu” [1]), replika Władysława Konopczyńskiego w „Kurjerze Warszawskim” [2]) i—na marginesie jakby tej dyskusji — odczyt Olgierda Górki w „Polskiej Akademji Literatury”, z którego uprzednio zdawaliśmy już tutaj sprawę [3]) — oto tyle, zdaniem naszem, objawów, że jeśli coś nie „zaczyna się psuć w królestwie duńskiem” to, w każdym razie, jesteśmy—jakby na drodze reform.

Ruch zaś ten „reformatorski” bynajmniej nie jest dla mnie niezwykły. Wyrosłem wszakże w środowisku, w którem aksjomatem było, że historja nietylko jest nauką, ale i sztuką, gdzie wszystkie niemal szkoły tej dzieła sztandarowe („Historja uniwersytetu...” mojego ojca, „Historja literatury...” Tarnowskiego, „Mieszko Stary” Smolki, nawet „Stefan Batory” Zakrzewskiego, nie mówiąc już o pisarzach ery romantycznej: Szujskim czy Kalince), nosiły na sobie piętno tej właśnie zasady [4]).

Ze szkoły zaś krakowskiej przeszedłem do szkoły lwowskiej Askenazego, który, jakkolwiek wsparty na bardzo rozległej erudycji, jakkolwiek bardzo odmienny w typie od uczonych krakowskich, bo „żyrujący” się raczej przynależnością do kultury niemieckiej, niż francuskiej, jednak miał bezwarunkowo ambicje artysty: świadczy o tem

[1]) Z 17 maja r. b.

[2]) Z 14 czerwca b. r.

[3]) „Myśl Narodowa” z dn. 7 czerwca b. r. nr. 24.

[4]) Patrz jej rozwinięcie w moich „Zagadnieniach historycznych”, Kraków, „Museion“, 1913.

po dziś dzień jego biografja „Księcia Józefa", jego „Wczasy", jego szkice saskie, jego monografja-*torso* o Napoleonie...

II

Ale na przełomie mojej młodości inne zapanowały poglądy—zwłaszcza w szkole historycznej krakowskiej. Pamiętam dyskusje w miejscowem seminarium, a częściowo też na łamach publicystyki i prasy. Chodziło w nich o to, że, pod wpływem szkoły niemieckiej, ale nie wczesno-romantycznej (Ranke, Mommsen), tylko późno-wilhelmińskiej (Lamprecht) utarł się był pośród młodszych historyków pogląd, że historja nie powinna być sztuką, że ograniczyć się powinna do suchego rejestrowania faktów, że nie powinna oglądać się na poklask czytelników czy słuchaczy, że winna pracować z myślą — przedewszystkiem tylko o przyszłych badaczach. Te wszystkie nowe, a częściowo pięknie brzmiące, aksjomaty, doprowadziły, zdaniem mojem, prostą drogą do tego przykrego stanu, w którym dzisiaj wegetuje nasza historjografja, a na który uskarżają się wszyscy (zarówno Piasecki jak Konopczyński).

Życie w tym względzie wmieszało bowiem głos swój potężny. Jak zwracał mi na to uwagę nie-historyk, ale człowiek wybitnie inteligentny, ś. p. Rudolf Starzewski—historjografja o tyle tylko głębsze ma uzasadnienie, o ile faktycznie odpowiada doraźnym potrzebom narodu. Stąd, w Polsce, jak i we Francji — rozważania obustronnych upadków (tam—po roku 1870—Taine; tu—po rozbiorach—Lelewel, Szujski, Bobrzyński). Są zapewne wyjątki od tej reguły: świetny rozwój naszej medjewistyki u świtu bieżącego stulecia niewiele ma zapewne wspólnego z problematem upadku, ale nikt nie zaprzeczy, że prace Potkańskiego i Wojciechowskiego bardziej przemawiały do elity, niż popularyzacje np. szkoły krakowskiej.

III

„Wybuchła" Polska, a z jej nastaniem stanęła historjografja oczywiście wobec nowych postulatów. Nie przeżył się jednak problem „upadku", bo nie zmieniła się struktura—jak dziś się mówi—„geopolityczna" Europy; zmieniło się tylko — by zaraz innego użyć neologizmu — „nastawienie" w stosunku do tego problemu: z płaszczyzny dociekań, jakie były przyczyny upadku Polski (kurs „wojenny" profesorów krakowskich) przeniósł się punkt widzenia raczej ku perspektywom, jak uniknąć ponownego zapadnięcia w rozbiór. Do całego doświadczenia stu lat rozbioru przyłączyło się czteroletnie doświadczenie „wielkiej wojny" i nieustanna obserwacja lat powojennych.

Czy nasi badacze „oficjalni" — niestety! ustaliła się już ta nomenklatura, przywiązana do katedr, akademij i t. d.—nadążyli kroku za dokonywającą się ewolucją? Śmiem wątpić. Śmiem wątpić tembardziej, że im zarzucam, że siedzą w „wieży z kości słoniowej" i że im w wieży tej dobrze, bo nie myślą jakoś z tej wieży wychodzić. Gdzie są w Warszawie te wielkie cykle konferencyj na wzór paryskich, o których długiemi miesiącami mówi całe miasto? Powiem rzecz straszną, ale mi się wydaje, że dzisiejsi nasi profesorowie, w przeciwieństwie do swoich poprzedników, są naogół poprost *kathederschen*, że naprawdę dobrze czują się jedynie w swoich „cenaklach".

IV

Czyż dziwić się wobec tego można, że do głosu chce dojść i dochodzi—nauka „nieoficjalna"?

Nie myślę bynajmniej iść do końca z rozumowaniami Piaseckiego w jego artykule p. t. „Ofensywa dłubaczy". Daleki jestem od demokratyczno-radykalnych jego zachwytów dla „opusu" Aleksandra Świętochowskiego, ale gdzie, sądzę, ma Piasecki rację, gdzie, z powonieniem dziennikarza, wyczuł, zdaniem mojem, konjunkturę, to wszędzie tam, gdzie mówi, że dzisiejsi historycy polscy odcinają się przeważnie murem chińskim od publiczności.

Czytam właśnie teraz z żywem zajęciem książkę antagonisty Piaseckiego, Konopczyńskiego o „Konfederacji barskiej". Mam o niej pisać i naprawdę mi się wydaje, że moje pisanie będzie „szukaniem dziur na całem", tak jest skomponowana pięknie i tak potężnym operuje materjałem. Zagadnienie, które porusza, chyba także dość jest ważne, skoro jest niem pierwszy wielki bój o polską niepodległość.

Więc sam się siebie pytam, czem to się dzieje, że książki Konopczyńskiego idą podobno słabo — przyczyna tego nie leży chyba li tylko w „schamieniu" polskiej publiczności, skoro znam książki równie bodaj ciężkie, których się w sezonie sprzedaje w poszczególnych księgarniach po kilkadziesiąt egzemplarzy albo i więcej. Więc dochodzę do wniosku, że Konopczyński, badacz świetny, pisarz przedni, jeżeli nie ma dostatecznego w społeczeństwie rezonansu, to chyba dlatego tylko, że go nie chciał czy nie umiał sobie poszukać [5]).

---

[5]) *Und das Glück, es lag so nah*... Jeżeli bowiem, z pilnością recenzenta, studjuje się olbrzymi „masyw" Konopczyńskiego, tę istotną redutę czy raczej akademię „wszelkiej sciencji pełną", to odkopuje się, w tym gąszczu nieprzeliczonych *faits divers*, informacje cenne, a czasem nawet bezcennej, wagi dla badacza dziejów polskiej masonerji.

Że pominę tu trafne a plastyczne charakterystyki czołowych polskich wolnomularzy (prymasa Podoskiego, Jana Ponińskiego i in.); że pominę dalej możność ustalenia, dzięki erudycji naszego autora, tak ważnych często w masonerji, a nieznanych nam dotąd koligacyj owych trójkątnych tuzów (Podoski — Mokronowski, Mostowski — Hylzen, Mniszech — Moszyński i t. d.); że pominę inne jeszcze szczegóły pomocnicze (t. zw. sprawa Lynara), ale — nad jednym epizodem najkapitalniejszej dla całokształtu dziejów rozbiorowych wagi zatrzymać się muszę, na razie w przypisku, ale z możliwym jednak naciskiem:

Proszę więc łaskawych czytelników „Myśli" sięgnąć do znanego im może mojego „Źródła rozbioru Polski" (str. 292—300); rozpatrzyć sobie tam raz jeszcze to, co piszę o zabójczej dla Polski roli prowokatorów masońskich, którzy inspirowali słynne porwanie Stanisława Augusta.

Czego tam jednak nie uwydatniam, jakby się w szerszych ramach należało, niż te któremi rozporządzałem, ale co dokładnie jest znane autorowi „Konfederacji barskiej" — to opłakana rola odegrana względem tej prowokacji przez wojewodę Pawła Mostowskiego, wyraźnego zresztą wolnomularza.

Otóż — ku mojemu największemu zdumieniu — przeczytałem na str. 231 cytowanego dzieła Konopczyńskiego o owym Mostowskim następującą informację:

„On... umiał... zaprzysięgać ludzi na zbawienie duszy... z tą różnicą, że na sztandarach radził umieszczać, zamiast Krzyża i Matki Boskiej słowa wielkiej mocy: „IOD. HERAD. HE. ADONAY. TETRAGRAMATON..."

Ten zaś pełen „słów wielkiej mocy" napis, który jeden z czołowych przywódców konfederacji barskiej radził umieszczać — „zamiast Krzyża i Matki Boskiej" — na sztandarach konfederackich (nawiasem tu przypomnę analogiczną kabalistykę na wcześniejszych, znanych mi sztandarach, Karola Gustawa i Cromwella), to — wedle *„Encyklopaedia Iudaica"*, VII (Berlin 1931), str. 554 — nic innego, tylko kabali-

V

Tu się zaś — na dobre — zaczyna *„musica proibita“*. Musze bowiem wspomnieć o książce Giertycha [6]), która tu recenzowana nie była, ale o której gdzieindziej pisali, pod życzliwem okiem cenzora, pp. Pruszyński, Romer i Wasiutyński.

Giertych nie chce być pisarzem oryginalnym, jak mu to zarzucają krytycy — *iurat* często *in verba magistri*, ale pragnie za to, by jego praca dostała się możliwie „pod strzechy”. Jest popularyzatorem, ale nie w tym obrzydliwym, „kiepurowatym” stylu teraźniejszości, lecz popularyzować się stara dawno przebrzmiałe, a nieprzemijające wartości. I to jest jego bardzo poważna zasługa.

To, co zrobił np. w książce swojej dla odświeżenia pamięci Kalinki (w 50-lecie jego śmierci), dla spopularyzowania zasług Popiela — przejęło mnie —jako katolika, konserwatystę i monarchistę — do głębi.

VI

Jest więc ruch na peryferiach historji: chciałbym też, by ruszyła się oblegana Grenada, by ożywiła się ta ciężka zwłaszcza maszynerja, jaką jest, za dni naszych, Polska Akademia Umiejętności.

KAZIMIERZ MARJAN MORAWSKI

styczny symbol (skrót imienia) Jehowy, pojętego w dodatku i wyłącznie jako Bóg Izraela (str. 556).

Przeczytałem tedy ten ustęp pracy Konopczyńskiego z niemałą sensacją, pewnem zadowoleniem, ale i zdziwieniem, że autor nie opatrzył go żadnym zgoła komentarzem. Może się więc okaże, że, obok bogatych w teksty erudytów „oficjalnych”, przydadzą się czasem i skromniejsi, bo „nieoficjalni” ich komentatorowie.

[6]) „Tragizm losów Polski“. Pelplin b. r.

TEODOR II I JAN IV

(Z DZIEJÓW ABISYNJI)

(Ciąg dalszy)

WŚRÓD buntowniczych rasów wysunął się wkrótce na plan pierwszy Negus Nilkas, bratanek rasa Ubie, pretendujący do rządów nad prowincją Tigre. Około niego zaczęły skupiać się niedobitki reakcji: rasowie i malkontenci spośród duchowieństwa. Wodzowi rewolty udało się opanować Tigre i zapoczątkować nowy ruch odśrodkowy, który w kilka lat niemal doszczętne zniszczył dzieło Teodora, a po jego śmierci wtrącić miał Abisynję w otchłań nowej anarchii.

Negussie Nilkasowi udało się nawiązać kontakt z dworami zagranicznemi, w szczególności z paryskim. Nawiasem mówiąc, stosunki Francji z Abisynją zapoczątkowane zostały jeszcze w 1760 r.[1]), nie miały jednak w owych czasach, rzecz prosta, żadnego konkretnego podłoża. Francja dopiero po opanowaniu północno-zachodniej Afryki zwróciła baczniejszą uwagę na kraj negusów, stanowiący jeden z ważniejszych etapów na drodze z jej kolonij do Oceanu Indyjskiego. Abisynja w owych czasach była już rozparcelowana na szereg niezawisłych państewek. Trzeba było upartych rasów po kolei przekonywać o ogromnych korzyściach przymierza z Francją. W 1843 r. rząd Ludwika Filipa zawarł traktat przyjaźni z królem Szoa, Sahle Selassiem [2]), następnie identyczną umowę zawarto z rasem Ubie. Negussie Nilkas, nawiązując do tych umów, wysłał do Paryża specjalne poselstwo, bardzo życzliwie przyjęte przez Napoleona III. Przedstawicielami Francji w Tigre zostali wyznaczeni hr. Stanisław Russel [3]) i ks. prałat de Jacobis.

Teodor wiedział o dyplomatycznych zabiegach rokoszanina i ze swej strony wystosował do rządów Francji i Wielkiej Brytanji listy z propozycjami przymierza. Zresztą stosunki z Londynem nawiązał już znacznie wcześniej. Zawdzięczał to dwu młodym poszukiwaczom przygód — Anglikom, których los zapędził do Gondaru, jeszcze za rządów rasa Ali Marie. Nazywali się: John Bell i Walter Plowden [4]). Silna indywidualność Kassy zainteresowała obu podróżników i zaprzyjaźnili się z nim jeszcze przed jego ostatecznem wyniesieniem. Plowden od 1847 r. pozostawał w kontakcie z rządem angielskim i w jego imieniu zawarł traktat z rasem Ali.

Teodor nie miał zwyczaju zapominać dawnych przyjaciół, to też, będąc już monarchą, zaprosił na swój dwór obu cudzoziemców. Umowa którą zawarli z Alim została przez króla zaakceptowana i zapewne wtedy — może nie bez wpływu Plowdena — powstał w głowie Teodora fantastyczny plan podboju Egiptu i Przedniej Azji w przymierzu z Wielką Brytanją i przy jej pomocy. Gdy wybuchła rewolta w Tigre (1860) obaj Anglicy walczyli mężnie przy boku Kassy. Bell wówczas zginął śmiercią walecznych, a Plowden, wyczerpany febrą i trudami pochodu, starał się przedrzeć na wybrzeże, aby odjechać do Anglji, został jednak po drodze przez krajowców zamordowany. Teodor szczerze opłakał obu przyjaciół i nie żałował złota, by wykupić ciało Plowdena, następnie zaś, mszcząc się za jego śmierć, wy-

[1]) We francuskich archiwach przechował się z tych czasów list negusa Tekli Hajmanota do Ludwika XIV. Hajmanota, o którym mowa, nie należy utożsamiać z królem tego samego imienia, osadzonym na tronie gondarskim około 1770 r. przez rasa Michała.

[2]) Spółcześnie prawie identyczny układ został zawarty między Anglją i Szoa. Posłem brytyjskim w Ankoberze był kap. Cornwallis Harris.

[3]) Opisał swą podróż w ciekawej książce: *„Une Mission en Abyssinie et dans la Mer Rouge“ (Plon ed.)*.

[4]) Autor książki *„Travels in Abyssinia and the Galla country with an account of a Mission to Ras Ali in 1848”. London 1868.*

mordował około 2000 podejrzanych o zabójstwo tuziemców.

Po roku 1860 gwiazda Kassy zaczyna gasnąć. Wojsko, wyczerpane nieustającą wojną domową, straciło swą bojową tężyznę. A przecież ono było już jedyną podporą krwawego króla. Powoli, ale nieustannie wzmagał się w szeregach ferment, podsycany przez wysłanników rewolty i duchowieństwo.

Zachowanie się Teodora ogromnie ułatwiało wrogą agitację. Król szalał. Pijaństwo i dzika rozpusta monarchy wywołały powszechne zgorszenie. Teodor czuł, że traci popularność nawet w wojsku i to doprowadzało go do pasji. Gniew znajdował ujście w krwawych egzekucjach, coraz okrutniejszych i przeważnie niczem nie usprawiedliwionych.

To też z dniem każdym rosła nienawiść do tyrana, stwarzając pomyślną atmosferę dla wszelkich poczynań separatystycznych. Na kresach Abisynji powstawały coraz to nowe ogniska buntu, przygotowując rychły już ponowny rozpad państwa.

W tym czasie (1862) przybyli do stolicy posłowie: Francji (Wilhelm Lejean)[5]) i Wielkiej Brytanji (kap. Cameron) z własnoręcznemi listami swych monarchów. Królowa Wiktorja przesyłała Teodorowi podziękowanie za wykupienie ciała Plowdena, oraz strzelbę i parę pistoletów[6]). Teodor przedstawił posłom plan podboju Egiptu i Przedniej Azji, oraz wręczył im listy do Napoleona III i Wiktorji, w których ponownie zreferował swój projekt. Po pewnym czasie Francja odpowiedziała wymijająco, Anglja zaś zbyła bezsensowną propozycję milczeniem.

Król jednak nie tracił nadziei, a kiedy wreszcie jesienią 1864 r. nadeszła poczta londyńska, wezwał Camerona na uroczystą audjencję, ale tu czekało Teodora przykre rozczarowanie: Londyn nie tylko zignorował jego projekty, ale nawet nie raczył mu odpisać. Po burzliwej rozmowie z posłem[7]) król kazał go zakuć w kajdany, następnie to samo spotkało jego sekretarzy.

Wieść o losie Camerona i towarzyszy dotarła wkrótce do Londynu. W Foreign Office wywołało to konsternację: „Jakto, murzyński kacyk ośmiela się podnieść rękę na urzędnika Królowej!"

Aneksja Abysynji była tu przesądzona, odkąd wyłonił się projekt przekopania kanału Suezkiego i wschodnie wybrzeże Afryki zyskało na znaczeniu. W świetle sprawozdań Camerona barbarzyńskie rządy Kassy doskonale przygotowały grunt dla zbrojnej interwencji. Feodałowie, duchowieństwo, lud i nawet wojsko — jego zdaniem — powitają okupantów jak zbawicieli.

Ministerstwo zdawało się podzielać stanowisko posła i to skłoniło go do zajęcia wobec negusa postawy jawnie wyzywającej.

Przeszarżował jednak. Anglja nie była jeszcze przygotowana do rozpoczęcia nowej wojny kolonjalnej, tembardziej, że teren przyszłych walk był niedostatecznie zbadany. Należało jednak ratować *prestige* imperjum i jakoś wybrnąć z honorem z kłopotliwej sytuacji.

Zdecydowano się na pertraktacje. Do Gondaru udał się agent Foreign Office'u, tym razem muzułmanin, ze specjalną misją wyjednania wolności dla Camerona i jego towarzyszy. Ale Kassa niewiele sobie robił ze zwyczajów międzynarodowych i kazał z kolei Hormuzda Rassama (tak się nazywał agent) ująć i zakuć w kajdany, poczem, powodując się już chyba tylko kaprysem, polecił uwięzić wszystkich europejczyków, przebywających w Abisynji. Jeńców, skutych łańcuchami, odstawiono do lochów pod Magdalą. Kierując się takim samym kaprysem, przywrócił prawo zabraniające cudzoziemcom przekraczać granicę abisyńską (1866).

Zbliżał się ostatni akt tragicznego panowania. Państwo Teodora rozpadło się. W Laście[8]) rządził Atje Tekla Georgis, rodem z Agau, w niepodległem Tigre—Goldża Kassa (późniejszy Jan IV), w królestwie Szoa — młody Sahle Mariam Menelik II, doniedawna więzień Kassy. Udawał on uległego sługę tak długo, aż uzyskał całkowite zaufanie Teodora, który zdecydował się ożenić go ze swą córką. Uśpiwszy w ten sposób czujność tyrana, Sahle Mariam zbiegł z Magdali w przeddzień ślubu. Imię potomka Salomonidów i wnuka wielkiego Sahle Selassi'ego sprawiło, że około zbiega skupiły się w krótkim czasie tysiące wojowników. Wtedy ruszył na Ankober. W stolicy szoańskiej rządził w imieniu Teodora namiestnik Melkania Bezabeh. Wojska jego bez wystrzału przeszły na stronę Mariama, a sam namiestnik pośpieszył do obozu zwycięzcy, by złożyć mu hołd. Wkrótce Sahle Mariam koronował się na króla szoańskiego i przyjął imię Menelika II.

Późniejszy monarcha abisyński — z czasem ogromnie wyidealizowany przez europejczyków — nie był pozbawiony prawdziwie wschodniej obłudy i okrucieństwa. Mimo że opanowanie Ankoberu przyszło mu nadspodziewanie łatwo, nie czuł się narazie w swej nowej rezydencji dość pewnie, by ściąć b. namiestnika. Przyjął więc jego hołdy życzliwie, a nawet mianował go gubernatorem jednej z prowincyj. W rok później zaprosił go do swego pałacu na bankiet. W czasie uczty jedna z kobiet, podających potrawy, błyskawicznym ruchem wylała na głowę gościa jakiś gorący płyn. To było hasłem. Wszyscy obecni na sali rzucili się na nieszczęśliwego, kłując go nożami. Po chwili wyniesiono trupa i uczta trwała dalej.

Na początku 1868 r. w zatoce Annesley[9]) wysiadła angielska ekspedycja karna, pod dowództwem sir Roberta Napiera. W skład korpusu wchodziło 14000 żołnierzy angielskich i 27000 kolorowych, 32000 zwierząt dźwigało ludzi i amunicję. Były tam, nie licząc koni: muły z Hiszpanji, wielbłądy z Sachary, woły z Indyj i wreszcie 14 ogromnych słoni, ciągnących armaty. Dzisiejszy czytelnik z niedowierzaniem przeciera oczy, czytając o tej fantastycznej wyprawie wysokogórskiej, dokonywanej przy pomocy słoni i wielbłądów. I, co najdziwniejsze, że robili to Anglicy, którym nie można chyba odmówić rozsądku i do-

[5]) Opisał swój pobyt w Abisynji w książce „*Théodoros II et l'empire d'Abyssinie*".

[6]) Z jednego z nich w sześć lat później odebrał sobie życie.

[7]) Denis de Rivoyre, który był obecny przy tej rozmowie, twierdzi, że Cameron zachował się prowokacyjnie (patrz „*Mer Rouge et Abyssinie*" wyd. Plon — Paryż 1880, str. 137 i nast.)

[8]) Lasta — prowincja, leżąca na południe od Tigre, z głównem miastem Sokota.

[9]) Angielska nazwa podłużnej zatoki na południe od Massaua.

świadczenia w wojnach kolonialnych. Gdyby Napier — dyplomata nie przyszedł z pomocą Napierowi — wodzowi, to jego potężny korpus (wraz z całym zwierzyńcem) wyginąłby bez reszty w wąwozach Habeszu, gdzie pierwsza napotkana garstka górali mogła go z łatwością wystrzelać. Tylko zawdzięczając rokowaniom z Goldża Kassą, Georgisem i Menelikiem mógł Napier bez żadnego szwanku dotrzeć do granicy amharskiej, ale zato cała wyprawa straciła rację bytu, bowiem feodałowie zażądali kategorycznie, by wzamian za ich nieagresję wycofał się z kraju zaraz po uwolnieniu więźniów. O aneksji Abisynji w tych warunkach nie mogło, oczywiście, być mowy.

Karkołomna wyprawa obfitowała w momenty tragiczne. Trzeba było niejednokrotnie z pomocą lin wciągać słonie na szczyty trzykilometrowej wysokości, lub spuszczać je do głębokich jarów. Bojaźliwe wielbłądy nie umiały manewrować nad brzegiem otchłani i spadały nadół, lub tonęły w błotnistych parowach. Konie, nieprzyzwyczajone do górskiego terenu, na widok przepaści stawały dęba, zrzucając jeźdców. W wąwozach zalanych mułem, czyhała febra i moskity. Żołnierze padali ze zmęczenia, a czasami i z braku wody. Za każdym zakrętem spodziewano się trafić na zasadzkę, co jeszcze potęgowało ogólne przygnębienie.

Dopiero 10 kwietnia 1868 r., po przekroczeniu granicy lasto-amharskiej, zetknięto się z wojskami Teodora. Abisyńczycy zajęli pozycję na wyżynie, naprzeciwko wąwozu, którym posuwał się korpus angielski, Na jednym ze szczytów, pod osobistem kierownictwem króla, ustawiono parę lichych armatek. W głębi, w pogotowiu, stała konnica.

Kiedy kolumna angielska wyłoniła się z wąwozu, Teodor dał znak i natychmiast tłum półnagich jeźdców zaczął spuszczać się po pochyłości na spotkanie przybyszom.

Anglicy dali ognia, a gdy dym rozproszył się, ujrzano bezładnie uciekających Abisyńczyków. Pierwsze zetknięcie się z nowoczesnem regularnem wojskiem wywołało w tych mężnych zresztą ludziach uczucie panicznego strachu.

Z góry biegł ku nim Teodor bez płaszcza, z rozwianemi włosami. Groził, błagał, przeklinał, ale bez skutku. Musiał sam porzucić armaty i uchodzić z resztą wojowników. I tym razem mimowoli ułatwił Anglikom zadanie. Zamiast bowiem odstąpić w głąb kraju i pociągnąć ich za sobą na pewną zgubę, Teodor poszedł na wschód i zamknął się na progu pustynnej Dankalji, w swej Magdali, nędznej forteczce, otoczonej glinianemi wałami i drewnianym płotem. Przewidując jednak rychłą klęskę, uwolnił kilku europejczyków i za ich pośrednictwem przesłał Napierowi propozycję pokoju, lecz angielski generał nie był skłonny do pertraktacyj i postawił mu twarde warunki. Odpowiedzią na nie był słynny list Teodora, który stanowi ważny dokument dla biografów tego niezwykłego człowieka.

„Uważając się za wielkiego władcę wydałem wam wojnę, ale z powodu lichoty mojej artylerji, wysiłki me poszły na marne" — pisał do Anglików — „Nieszczęście które przyniosłem memu narodowi, może Bóg kiedy przemieni na dobro. Niech będzie Jego Święta Wola. Ja chciałem z pomocą Bożą podbić świat i gotów jestem zginąć, jeżeli tamto nie jest mi sądzone".

„O ludu abisyński, czyż ty zawsze będziesz tak nikczemnie uciekał przed wrogami, jeżeli z woli Bożej zabraknie mnie, com ci dodawał odwagi"...

Wobec zerwania układów, Anglicy zbombardowali gliniane fortyfikacje Magdali i w poniedziałek wielkanocny wkroczyli do miasta. Jednak Teodora nie udało im się ująć. Na kilka minut przed zdobyciem Magdali rozkazał on żonie, by sprowadziła dla Anglików tysiąc wołów i pięćset owiec — aby mogli godnie uczcić zwycięstwo — poczem zastrzelił syna i siebie.

Heroiczna śmierć króla uczyniła go znów popularnym w oczach ludu. Do dziś bardowie abisyńscy opiewają „zgon lwa, dla którego hańbą byłoby zginąć z ręki człowieka".

Jeńców uwolniono. Był między nimi i nieszczęśliwy żarłok Jan III, który na kolanach błagał Napiera, by go z powrotem osadził na tronie. Oczywiście prośba ta została pominięta milczeniem.

Napier zawiódł się fatalnie. Wyprawa kosztowała około dziesięciu miljonów funtów oraz pociągnęła pewne straty w ludziach. Teraz dopiero bezcelowość tych strat stała się zupełnie oczywista. Wprawdzie już umowy zawarte z feodałami wykluczały jawne aneksje terytorjów, ale zawierając je, Napier sądził, że uda mu się wywołać antagonizmy między rasami, gdy będzie w centrum kraju. Otóż, dzięki manewrowi Teodora, który na własną zgubę pociągnął Anglików na granicę Dankalji, ekspedycja znalazła się bardzo daleko od owego centrum. Marsz do Gondaru byłby dziś już niczem w oczach rasów nieusprawiedliwiony i wywołałby z ich strony zaciekły opór. Nie pozostawało więc nic innego, jak tylko wycofać się z placu boju, co też Napier pośpiesznie uczynił. Oczywiście, że angielscy historycy Abisynji inaczej tłumaczą decyzję generała: *„Napier avait pour objectif le sauvetage des prisonniers; sa tâche accomplie, il se mit à regagner la côte, emportant pour tous trophées un calice d'or, la couronne de l'abouna, la couronne d'or de Théodoros et l'exemplaire royal du Kebra Nagast"* [10]).

Wycofując się przez terytorjum Tigre, Napier zaopatrzył Goldża Kassę w broń i amunicję. Prawdopodobnie uznał on, że Goldża jest najbardziej predystynowany do roli przyszłego klijenta Anglji,

Przymierze zawarte z nim stanowić miało wstęp do protektoratu W. Brytanji nad całym krajem, gdy ras Goldża zostanie negusem. Nawiasem mówiąc, Anglicy zawiedli się na nim, podobnie jak Włosi w kilkanaście lat później na jego rywalu, Meneliku.

(D. c. n.) BOHDAN GĘBARSKI

---

[10]) A. H. M. Jones i E. Monroe: *„Histoire de l'Abyssinie"* przekł. z ang. C. Delavauda. Payot — Paryż 1935 (str. 181). Kielich, o którym mowa, znajduje się w „Victoria and Albert Museum", a korona Teodora została zwrócona Abisynji w 1925 r.

O PRAWO PRZEŚWIETLANIA UTWORÓW—I

Z POWODU NARCYZY ŻMICHOWSKIEJ

NIE UWAŻAM za rzecz zdrożną, gdy literat wdaje się w rozmowę ze swoimi krytykami. Szeroki ogół nazywa zwykle taką dyskusję polemiką, utożsamia ją z kłótnią, czeka bijatyki, ale w rzeczywistości wymiana zdań, publicznie dokonywana powinna uchodzić za wyższy stopień potrzeby towarzyskiej rozmawiania. Trzeba milczeć, gdy się nie ma nic do powiedzenia, ale w towarzystwie trzeba, choćby uśmiechem, pokwitować rzuconą sobie kwestję. Milczenie bywa obraźliwe; przyjemniej — sądzę po sobie — krytykowi, gdy mu zaprzeczą, niżby miał zostać z wrażeniem, że go lekceważą, a może nawet nie czytają.

Proszę mi tedy nie brać za złe, że wolniejszą chwilą przejrzę recenzje, z któremi się spotkała moja praca p. t. „Aspazja i Alcybiades", i że na swoje usprawiedliwienie to i owo powiem. Zwłaszcza że chodzi w tym wypadku o Narcyzę Żmichowską, a właśnie myślałem o tem, iż należałoby ją przypomnieć z powodu 60-tej rocznicy jej zgonu, przypadającej pod koniec tego roku, oraz 90-tej rocznicy narodzin „Poganki", ogłoszonej w r. 1846.

Przedewszystkiem kilka uwag ogólnych.

1

Mam wrażenie, że sprowadzenie archiwum i biblioteki z Rapperswilu do Warszawy przyczyniło się do ustatkowania naszej wyobraźni historycznej w poglądzie na nasze życie intelektualne w XIX stuleciu. Cały środek tego stulecia od 1831 przynajmniej do 1880 r. rozdwajał się nam w oczach między to, co było krajowe i to, co na emigracji. Im jaśniejszą zorzą płonął ideami i poezją duch polski, który jak słońce zaszedł na Zachodzie z emigrantami, tem mniejszej uwagi stawał się godnym nasz widnokrąg krajowy.

Powrót Rapperswilu już za białego dnia Polski był symbolicznem sprowadzeniem prochów emigracji, i ostatecznem zebraniem się w całość ducha, rozdwojonego, na męczącą wymianę obopólnych tęsknot. Jednocześnie skomasowaliśmy skarby krajowe. Kraków, Lwów, Wilno, Poznań to już nie są legendy dla Warszawy, wróciły nawet skarby zrabowane przez Rosję. Ułożył się przed oczyma w jednem polu widzenia obraz schedy historycznej. Dla tego i perspektywa lepiej się układa w stosunkowej wymierności zdarzeń, tworów i ludzi. Cokolwiek stracilibyśmy na legendzie, to zyskaliśmy na wydobyciu się tego, co legenda przyćmiewała. Wyrównał się rachunek, przybliżył się termin wykończenia bilansu ogólnego.

Tak, to były rozbiory, sięgające kordonami w głąb psychiki, czego najlepsza wyobraźnia przezwyciężyć nie mogła.

Nierówna była uprawa pól w tej wielopolówce polskiego gospodarstwa i niejednaki klimat cywilizacyjny. Nic dziwnego, że twórczość duchowa polska na zachodzie Europy w tropikalnem słońcu cywilizacji bujała wspanialej. Przecież ziarno było wszędzie usiewu polskiego. To samo kiełkowało w kraju, chociaż powolniej i z mniejszemi na plenność widokami. Dość stwierdzić, ile wymrażał ucisk polityczny, ile tworów przekształcał, że były niedopowiedziane, zatarte w wyrazie, nieraz wręcz niezrozumiałe. Co tam na emigracji, poeta w jednej strofie dukatowem złotem słowa mógł wypowiedzieć, w kraju wytapiał umysł czytelnika z całych gór powieści Kraszewskiego, gdzie to złoto rozproszkowane było jak w piasku. Inne tempo, inny blask, inny dźwięk, inna zresztą proporcja, gdy tam wszystko, co z ducha, szło na jego mękę i na jego twórczość, a w kraju obracać musiało wielką machinę powszedniego życia narodu. A to życie ileż ducha absorbuje!

Twórczość krajowa musiała być mniej efektowna w literackim plonie. Gdy tam na emigracji, wielkie indywidualności, tu w kraju — prądy, całe złomy życia, szukające wypowiedzenia się w twórczości powieściowej, w której ginie śpiewak, będący tylko organizatorem zjawisk życiowych, aby były jako tako z sensu swego zrozumiałe.

Bo rzeczywistość nie jest dla wszystkich jej uczestników tak zrozumiała, aby bez pomocy segregatorów ideowych i symboliki literackiej obyć się mogli. Twórcy wprzęgać muszą swego Pegaza do ciężkiego pługa i nie bez antagonizmu traktują poetów, odrywających się w świat rojeń abstrahowanych od życia. Nie lubią też dobrowolnych emigrantów, wyzwalających się z jarzma rzeczywistości krajowej.

Chciałbym w tem miejscu zwrócić uwagę na krzywdę wyrządzaną literaturze krajowej owych czasów, gdy się ją zestawia z twórczością na emigracji bez uwzględniania tej okoliczności, że pisarze krajowi podlegali surowej cenzurze władz politycznych. Na wolności autor wypowiada się do syta, pod cenzurą skrępowany jest w treści i w formie. Niepodobna w obu wypadkach stosować tej samej miary, zwłaszcza w ocenie ograniczać się formą, bo ona bywa niedociągnięta, wchodzić trzeba w intencję, odtwarzać sobie psychikę autora i środowiska i dopowiadać go. Z tego samego ziarna idej tu i tam inaczej płonka buja, nieraz pozostaje drobnym krzewem, coby w klimacie wolności wyrosło w drzewo.

Więc choćby ta „Poganka". Jakże ją krzywdzono, biorąc dosłownie tę bajkę, bez prześwietlenia i wypatrzenia poukrywanych wewnątrz pędów i wartości ideowych. Biorąc rzecz formalnie jest to opowiastka życia domowego, gdy zaś ją rozepniemy na duże stalugi, wtedy zobaczymy, że zestawiać można Żmichowską, dajmy na to, z Krasińskim.

Nie trzeba więc prób w tym kierunku lekceważyć, jak to czynią niektórzy krytycy.

2

W swoich ostatnich pracach literackich nad okresem literatury lat 40-tych ubiegłego wieku usiłowałem być historykiem, to znaczy nastawiałem wyobraźnię na odnalezienie w utworach związku z życiem ówczesnem. Przesunąwszy się w ten sposób osobiście w tamte czasy, zrozumiałem, że

to, co nam z odległości wydaje się tak rozdwojonem (kraj i emigracja), pokratkowanem geograficznie, dla umysłów współczesnych nie było tak dosłownie systemem odosobnienia celkowego. Nawet w więzieniu ludzie się porozumiewają wypukiwanym w ściany alfabetem, ale wtedy nawet bezpośrednie porozumiewanie się nie było bardzo trudne. Warszawa komunikowała się dość łatwo z Poznaniem, Poznań—z Paryżem. Krążyły ideje, nawet z Galicją trwał stały kontakt przez emisarjuszy. Ukradkowość konspiracyjna nadawała dramatyczny charakter każdemu takiemu kontaktowi i szczególną wagę każdej idei, będącej w obrocie wymiennym.W wysokiej cenie były ideje krążące i bardzo wyraziście zarysowywały się postacie ludzkie, będące w tych warunkach posterunkami nadawczemi tych idej. Tych efektów nie zna wymiana dzisiejsza, masowa, zbanalizowana, zakłamana przez prasę i biura informacyjne.

Świat inteligencki, a zwłaszcza literacki miały byt wtedy. „Ewidencja personalna", jak się dziś mówi, była przejrzysta. Każdy wybitniejszy człowiek miał w opinji swego koła dokładne konto. I to leżało w naturze tego czasu, jednostka bowiem z siłą swej indywidualności w czasach romantycznego idealizmu była miarą spraw.

W tak ujętem polu widzenia onych czasów spotkałem się z osobistością bardzo dla tej epoki miarodajną—z Narcyzą Żmichowską. Była to wówczas w świecie polskiego życia duchowego osobistość centralna, nietylko dla Warszawy, sięgała duchem we wszystkie dzielnice i na emigrację, wnikała we wszystkie dziedziny życia i twórczości polskiej, stała w ogniu najsilniejszych idej swego czasu. Wydała mi się stworzoną z azbestu ze względu na swą naturę krystalizacyjną, oporną na ogień, a niezmiernie chłonną i jedwabistą. Nieocenionej to wartości kruszec cywilizacji przez to, że taki niezniszczalny w ogniu i tak garnący się do życia, że można z niego robić odzież powszednią. Szła w ogień, ale ten nie spalał serca i mózgu; zachowywała chłód trzeźwej obserwatorki.

Gdy się bliżej zaznajomiłem z jej utworami, zrobiło mi się żal tej niepospolitej kobiety, że uczyniono z niej w krytyce degeneratkę i literatkę, uczącą się pisania powieści na wzorach powieści francuskiej, nie mającą nic w „Pogance" do wypowiedzenia prócz własnych przeżyć z przyjaciółką, która jej dokuczyła.

Wczytawszy się w jej czołową powieść „Pogankę", w którą włożyła całe bogactwo swego programu artystycznego i życiowego, staranność kompozycyjną i najlepsze ambicje oryginalności, przyszedłem do przekonania, że nie doceniono gatunku tego dzieła.

Dosyć wziąć je w rękę, aby odczuć, że nie jest to bibuła, lecz coś z kruszcu, nie grafomaństwo, ani pensjonarski egotyzm, ani literacka zaraza francuska. Oczywiście każdy artysta, nietylko kobieta, chce występować w dobrej formie, w szatach kroju uznanego za zgodny z duchem czasu, ale przecież widać, że to pisze Polka i to nie jakiś snob, hodowany na książkach, lecz kobieta rzucająca się w życie z misją rozstrzygania palących zagadnień i regulowania etycznego duszy narodowej; że w tym stosunku aktywnym do życia nadosobistego, szukać trzeba punktu ciężkości utworu.

Historycy powieści, nałożeni do pracy archiwalnej, biorą się tak do wykopaliska, jakby to koniecznie miał być aerolit, jakiś kawałek z cudzej planety literackiej, w tym wypadku — z francuskiej. Tymczasem należałoby rzecz rozłupać i zajrzeć do środka, nietylko z zewnętrznego kształtu sądzić.

Epokę w geologicznej orjentacji nauki o naszej ziemi musiał stworzyć fakt, gdy człowiek, rozłupawszy skałkę na Łysej Górze, znalazł deseń odciśniętej ryby. Pokazało się, że był tu kiedyś brzeg morski; tam, gdzie teraz szumią jodły, trzaskały fale morza. W „Pogance" są ślady żywych, konkretnych ludzi. Chodzi o rozpoznanie tych śladów. Historycy powiadają, że przeważnie są to odciski palców samej autorki, która bajkę lepiła, a co do tej rybki — to napewno jest profil panny Zbyszewskiej Pauliny. Dla czego, czy podobny do jej portretów? Nie, ale w archiwum epistolarnem Żmichowskiej znaleźliśmy, że w tym czasie Zbyszewska jej dokuczyła. Złapała ją w bajkę, zakuła w noweli na wieki.

3

Na dobrą sprawę można się nie troszczyć o to, jaki pierwowzór wyłowił z życia autor do swej powieści. Dla oceny wartości utworu ma ta okoliczność minimalne znaczenie. Jednakże w historji literatury i w krytyce pełno jest poszukiwań: jakie też zdarzenie zużytkował artysta, kogo sportretował? Pisarze z najtęższą wyobraźnią (Mickiewicz, Sienkiewicz) poszlakowani są o rozmaite przywłaszczenia, o posługiwanie się modelami. Ale byłoby to ich sprawą intymną, gdyby nie inna ciekawość: historyk rad jest wykorzystać utwór jako dokument historyczny, wyjaśniający związek autora ze środowiskiem. Szczególnie frapującym staje się wypadek, gdy podejrzenie pada, że modelem mogła być osobistość mająca znaczenie historyczne. Wtedy dociekanie warte jest zachodu.

Moje podejrzenie padło na osobę Norwida i jego towarzyszkę w przygodach p. Marję Kalergis. Supozycja taka może się stać wystarczającą podstawą orjentacji i dyskusji, gdy fakt z życia i osobistości dadzą się wrysować w utwór ściśle w tem polu widzenia, w jakiem ten fakt i osoby mogły być widzialne dla autora. Jednem słowem trzeba hypotezę uprawdopodobnić, na co nie wystarcza jakiś jeden punkt styczny. Nie można np. zgadywać w ten sposób: Bohaterkę noweli nazwała Żmichowska poganką, a w jednym z listów swoich wyraziła się o Paulinie Zbyszewskiej, że jest poganką; przeto „Poganka" ma swój model w Zbyszewskiej. Argument nie wystarczający, bowiem światy realny i tworzony przez artystę trzymają się kupy nie wyrazami, lecz rzeczą, a powtóre w słownictwie i w pojęciach pisarza walczącego o ideał chrześcijański, wszystko, co temu ideałowi przeciwne, było pogaństwem.

Do kłótni na ten temat usposabia mnie to, że nie widzę u krytyków moich tej wyobraźni, jaka jest potrzebna do wdzierania się w psychologję tworzenia artystycznego. Potrzebna jest do tego jakaś odrobina intuicji, czy — jak kto chce—kongenjalności z autorem, pozwalająca przenieść się, dotrzeć do t. zw. „kuchni" autorskiej, choćby ciekawość *„wie macht man das?"* Niema na to przepisu ogólnego, ale weźmy „Pogankę" jako nowelę. Skąd się ona wzięła? Znamy ówczesną kuźnicę literacką. Gorzał tam ogień idealizmu, myśl paliła

się problematami. Żmichowska naładowana zagadnieniem wzajemnego stosunku ideałów: dobra, prawdy, piękna i wszystkich razem do życia. Nęci ją szczególnie sprawa piękna i sztuki, tędy szuka dostępu do zagadnienia. Wszystko ma rozwiązywać miłość, ale tu spotyka się z nieubłaganym dramatem przeciwieństwa, czy równoległości: jak pojmać sztukę w sidła miłości, żeby sharmonizowała się w trój-ideał?

To jest problemat noweli. Dla tego zagadnienia trzeba znaleźć artystyczny kształt, jakąś postać życia tak wystylizowaną, utypowioną, że aż wysymbolizowaną. Problemat jest rzeczą najmniej własną, obrabiają go wszyscy. Autorowi chodzi o to, jak on go pokaże na żywym przykładzie i jak ten swój pomysł zdoła wysymbolizować. Każdy, kto póbował sam komponować, przyzna, że pisarz największy ma kłopot z tą sprawą pomysłu, żeby się nadawał do zagadnienia i pozwalał się dobrze rozwiązać w symbolice artystycznej. Najczęściej zapładnia wyobraźnię artystyczną jakiś wzorzec upatrzony w życiu.

Żmichowska nie wyobrażała sobie możności tworzenia inaczej, jak przy pomocy modelu. Mamy na to dowód w jej powieści, jak sobie wyobrażała pracę Cyprjana. Powieściopisarzowi, oprócz wzoru osobistości, potrzebne są wzory s y t u a c y j ż y c i o w y c h. Pisarz, zwłaszcza początkujący, nie ruszy z miejsca, póki mu z życia nie nasunie się zarys jakiegoś znamiennego zdarzenia. Dopiero pewność, że taka kombinacja jest w życiu możliwa, daje wyobraźni jego artystycznej trwałe oparcie. Na życiowym, odpowiadającym jego problematyce, fakcie rozpina spokojnie swoją kompozycję i na tym rysunku maluje swoje widzenie tej rzeczy w motywach i symbolice, oczywiście czerpiąc farby z palety swych własnych przeżyć.

Kładę nacisk: Żmichowskiej potrzebny był nie tylko model indywidualności, ale także m o d e l z d a r z e n i a miłosnego, bo jak w listach sama wyznawała, nie mając osobistych w tym względzie doświadczeń, odczuwała brak wyobraźni romansowej. Trafił się jej właśnie taki modelowy romans w kompleksie Norwid — Kalergis.

Rysunek tego zdarzenia pod malowidłem „Poganki" widzę wyraźny. Oczywiście nie mam dowodu fotograficznego. Ktoby jednak chciał mi zaprzeczyć, i chciałby mnie przekonać miałby dwie drogi: albo dowieść, że rysunek jest imaginacyjny, albo, że ten rysunek odpowiada innemu zdarzeniu, mianowicie... Tę drugą drogę obrali moi krytycy, mianowicie wydeptaną już przedtem ścieżkę do Pauliny Zbyszewskiej.

Jak oni sobie wyobrażają, że epizod waśni między przyjaciółkami dał się rozprowadzić na wielki obraz romansu—to jest tajemnicą. Wystarcza im dowód, że w listach Żmichowska nazwała przyjaciółkę „poganką". Jak już zaznaczyłem, ludzie operujący ze świadomością pojęciem chrześcijańskości, wszystko, co jest temu pojęciu przeciwne, nazywają poganiskością; cały świat dzieli się na chrześcijan i pogan. „Pogaństwo" jest określeniem często spotykanem w ówczesnej literaturze. Ale co w tym wypadku wskazuje indywidualnie na Zbyszewską, o tem nikt nie ma nic do powiedzenia.

Albo ten motyw werbalny „miłość"! Ponieważ Żmichowska w listach nazwała swój serdeczny ze Zbyszewską stosunek miłością, a tematem powieści jest miłość, więc zdecydowano, że ta miłość wzięta jest z przeżyć osobistych autorki, mianowicie z przeżyć ze Zbyszewską. Pomysł obliczony chyba na sensację, bo zupełnie nie pasujący do fabuły i tendencji utworu.

Rozumiałbym swoją sytuację, gdyby mi zrobiono zarzut, że wogóle wdaję się w odgadywanie, kogo Żmichowska brała za model, ale zupełnie nie rozumiem, dlaczego robią mi ten zarzut ci, którzy sami domysły takie snuli, nadomiar wciągając w grę rzekome przeżycia osobiste autorki i do tego w sposób tak lekkomyślny i nierzeczowy. Dla czego ta ich insynuacja, oparta na przypuszczeniu, że tylko swojemi przeżyciami autor może się w pisaniu posiłkować, ma wyższość nad moją hypotezą, w której wskazuję kilkanaście punktów stycznych między powieścią a zdarzeniami znanemi autorce?

*

Dziwi mnie trocha, że nie znalazł się dotąd nikt, ktoby tą sprawą drobiazgowiej chciał się zająć. Tyle jest kobiet studjujących polonistykę, tyle entuzjastek sprawy kobiecej, ale nie widać aby która z tych kobiet zainteresowała się życiem pierwszej w XIX wieku wielkiej postaci kobiecej.

Wogóle byłby już czas mityczne wyobrażenia o tamtych czasach i ludziach w Warszawie trochę ukonkretnić i przez to zbliżyć tę epokę do nas. Mieliśmy przykład z C. Norwidem, jak on nam się odcieleśnił i zagubił w mgłach tak niewielkiego oddalenia, wskutek naszej, nieco prostaczej, skłonności do mitologizowania zjawisk twórczych.

ZYGMUNT WASILEWSKI

MIASTO

Południa żar. Tak duszno... Bez siły
Grzęzną stopy w rozgrzanym asfalcie.
Mury szare dokoła i bryły
Obojętne, ogromne, zuchwalcze.
Miasto-Kolos upałem swym wierci
Pustkę w mózgu, podobną do śmierci...

Wtem zapachniała wieś...
Dalekich łąk ogromy,
Szeroki przestwór pól... —
— To nic. To drobna rzecz,
To tylko na mej drodze
Niewielki stanął wóz,
A na nim złoty snop
Pachnącej, żytniej słomy...

ZOFJA RODOWICZ-IWANICKA

NA WIDOWNI

Akrobaci i sportowcy. — Popularność sportu i jej przyczyny. — Chaos i objektywne kryterja. — Jednolitość suggestji i jej skutki.

W NUDNE popołudnie niedzielne, wałęsając się po wyludnionej z powodu wakacyj Warszawie, zaszedłem do ogrodu zabaw ludowych „100 pociech". Na t. zw. „otwartej scenie", w środku parku, popisywało się dwu akrobatów. W tandetnie jaskrawych strojach, w zniszczonych trykotach, najwidoczniej nędznie zarabiający „artyści" cyrków wędrownych, budzili podziw efektownością swoich trudnych i niebezpiecznych produkcyj. Ze zdumieniem i rosnącem zajęciem przypatrywałem się składanym przez nich co chwilę dowodom siły, zwinności i precyzji każdego ruchu, odwagi.

W kilka dni później, w kinomatografie „Roma" oglądałem film-reportaż z berlińskiej Olimpiady. Już po paru minutach — mimo doskonałości technicznej zdjęć — zaczynałem odczuwać lekkie znudzenie: owi pływacy śpieszący się by jaknajszybciej, kilkanaście razy, obrócić tam i z powrotem w wąskim basenie, owi biegacze, okrążający tor niczem konie wyścigowe, nie mogli jakoś obudzić we mnie żywszego naprawdę zainteresowania. Uwagę moją przykuwały natomiast wielotysięczne tłumy na trybunach, rozgorączkowane, entuzjastyczne, wyciem nieludzkiem podniecające zawodników, żywiołową owacją nagradzające każdego zwycięzcę.

Niewątpliwie, zamiłowanie w zręczności, sprawności fizycznej jest człowiekowi przyrodzone i widowiska z tego zakresu zawsze przyciągać i zaciekawiać będą szerokie rzesze. Jak wytłumaczyć wszakże, iż w pewnych,—i jak widać, w niektórych tylko wypadkach zainteresowanie to przybiera tak gigantyczne rozmiary, że np. nazwiska najlepszych szybkobiegaczy lub pływaków stają się sławne na świat cały, że sukcesy ich witane są w ich ojczyznach jak triumf narodowy, że stają się oni bożyszczami mas i t. d. Oczywiście, wiele wyjaśnić tutaj można suggestją, szerzoną przez dzienniki, głoszące chwałę „asów" sportu, pobudzające w tym specjalnie kierunku wyobraźnię tłumów. Niemniej pozostaje do wyświetlenia kwestja, dlaczego w tej dziedzinie właśnie — suggestja ta okazuje się tak skuteczna, oddziałująca tak niezawodnie i tak powszechnie.

Wydaje się, iż w pewnej mierze przynajmniej zjawisko to przypisać trzeba przyczynie bardzo głębokiej, mianowicie chaosowi cywilizacyjnemu czasów, w których żyjemy. Jeśli rozejrzeć w stosunkach obecnych, okaże się jasno, że sport jest bodaj jedyną dziedziną, w której hierarchie talentów i stanowisk są ustalone objektywnie, przez wszystkich uznawane i przez wszystkich klasyfikowane według tej samej, powszechnie obowiązującej miary. W epokach, w społeczeństwach o jednolitej postawie religijno-moralnej „rekordy" w osiąganiu wyżyn życia duchowego wydawały się czemś równie bezsprzecznem, mierzonem przy pomocy jednakowych, przez nikogo nie kwestjonowanych kryterjów, jak w czasach teraźniejszych obliczamy np. wysokość skoku o tyczce. Dziś, w okresie równouprawnienia najbardziej sprzecznych etyk, w dobie „mieszanki cywilizacyjnej", jak wyraził się prof. Feliks Koneczny, hierarchie w tym zakresie można układać według zasad wyłączających się nawzajem — oświadczając, iż wszystko zależy od „punktu widzenia". Podobnież w epokach o określonym stylu, o wyraźnym kanonie estetycznym istniały — ciasne zapewne i jednostronne — ale zarazem i pozbawione dowolności normy oceny twórczości literackiej, artystycznej i t. d. Teraz, po eklektycznym relatywizmie, wieku dziewiętnastego, wśród chaosu doktryn i „eksperymentów" dzisiejszych, czyż każde głupstwo nie może być „z pewnego stanowiska" arcydziełem — i odwrotnie?

Jakże np. dowiedzieć się z dzienników o wartości politycznego przemówienia, jeżeli nawet liczbę słuchaczów, obecnych na zgromadzeniu, jeden reporter określi na dwadzieścia tysięcy, drugi na tysiąc? Jakże rozprawiać z krytykami literackimi o pięknościach utworów poetyckich, kiedy jednego np. zachwyca Peiper, drugiemu nie podoba się „Pan Tadeusz"? A tymczasem klasyfikacja „asów" sportowych i osiągniętych przez nich wyników, ustalona jest z nieomylną dokładnością, do dziesiątej, a nawet setnej części sekundy. Tabela „punktów" jednakowa jest w każdej gazecie, wszyscy zgadzają się, że Owens biega szybciej od Nojego...

I tu nasuwa się uwaga dalsza, o charakterze ogólniejszym. Fakty wyżej wskazane są wymownym dowodem, jak nieodparty jest nacisk na jednostkę suggestyj ze strony otoczenia, jeżeli oddziałują one zgodnie, w tym samym kierunku. Przy ocenie polityków, pisarzy, programów suggestje te są zazwyczaj sprzeczne, neutralizują się nawzajem, stąd trudności w ustalaniu się bezwzględnych, przez każdego uznawanych autorytetów. Stąd, równocześnie, usiłowania narzucenia tych jednolitych suggestyj czy to prymitywniejszemi środkami represyj i cenzury, czy też przez bardziej subtelnie pomyślane, potężne mechanizmy propagandy. Powstaje też zagadnienie, czy ten chaos dzisiejszy może i czy powinien być ujednostajniony w sposób mechaniczny, przez działanie zzewnątrz, w myśl fantazyj czy interesów tych, co mają w swojej mocy narzędzia wytwarzania suggestyj i dążą do zapewnienia sobie w tej dziedzinie możliwie całkowitego monopolu?

Obraz ludzkości, rządzonej przy pomocy takich jednolitych suggestyj propagandowych ukazał przed kilku laty Aldous Huxley w swem znakomitem dziele „Nowy wspaniały świat". Na zakręcie drogi cywilizacyjno-dziejowej, na który wjechaliśmy pełnym gazem, książka ta widnieje jak sygnał ostrzegawczy.

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

ZNOWU WZROK CAŁEJ POLSKI ZWRACA SIĘ W KIERUNKU ŁODZI. Tam bowiem za parę tygodni mają się odbyć wybory do samorządu. Wybory te — wszyscy sobie z tego dobrze zdajemy sprawę — są aktem na wskroś politycznym i przewyższają skalą zwykłe zdarzenie, jakiem jest wybór Rady Miejskiej chociażby nawet w tak dużem, drugiem pod względem liczebności mieście polskiem. Tak też na akt wyborczy zapatruje się polska ludność, czego dowodem jest opublikowana przed paroma dniami odezwa Stronnictwa Narodowego, mająca doprawdy cechy dokumentu.

Zacytujmy kilka ustępów:

„W Państwie Narodowem nietylko odbierzemy żydom subwencje, usuniemy żydów z posad, odbierzemy im dostawy i zamówienia, obciążymy ich mocnemi podatkami (zmniejszając równocześnie opodatkowanie ludności polskiej) ale odbierzemy żydom prawa polityczne".

Uderza odrazu skala zapowiedzi. Nie tylko w Łodzi, ale w Państwie Narodowem.

„Destrukcyjna działalność żydów w poprzedniej Radzie Miejskiej jest więc jeszcze jednym więcej dowodem na to, że sama obecność żydów w polskich ciałach radzących jest szkodliwa.

Trzeba uczynić krok dalszy na drodze do odżydzenia Polski i odebrać żydom prawa polityczne".

Wniosek z obserwowania pozycji żydów w poprzedniej Radzie Mielskiej również obejmuje zagadnienie ogólno-narodowe, a nie tylko partykularne:

„Według dziś obowiązujących ustaw i ordynacyj, żydzi prawa te posiadają. Ale ustawy i ordynacje, a nawet konstytucję, można zmienić. Zmiana ich nastąpić musi, gdy zażąda jej cały naród!"

Mowa wyraźna o konstytucji, którą można w zasadzie zmienić, a którą trzeba koniecznie zmienić, skoro tego zechce cały naród.

Robotnicza Łódź dobrze pamięta, że w poprzedniej Radzie Miejskiej wnioski Obozu Narodowego były przez komisarycznego prezydenta miasta nie poddawane pod głosowanie z powodu ich sprzeczności z założeniami konstytucji, czyniącej Państwo Polskie „wspólnem dobrem wszystkich obywateli". Robotnicza Łódź, wie, zdaje sobie sprawę z tego, że swą postawą zamanifestować musi pozytywny stosunek do zmiany ustroju Polski w kierunku zgodnym z zasadą narodową. I do wykazania tej postawy przygotowuje się.

Wszyscy musimy sobie powiedzieć, że walka wyborcza pociągnie za sobą większy wysiłek aniżeli poprzedniego razu. Przeciw Obozowi Narodowemu formuje szyk zwarta linja, sięgająca od kapitalistów pochodzenia żydowskiego, poprzez burżuazję żydowską do proletarjusza — Polaka na którego wpływ już się silną presją poczyna wywierać. Nie pozwala się np. w fabrykach należących do żydów wejść na teren pracy narodowcom, następuje bowiem nakazana przez właściciela i opłacana reakcja. Tereny żydowskich zakładów przemysłowych stoją natomiast otworem przed agitatorami socjalistycznymi. „Kapitanowie polskiego Manchesteru" (według oczywiście „Świata"), bardziej się obawiają reform i postawy reprezentowanej przez czynny, wojujący, nowoczesny nacjonalizm, aniżeli starych pokrzykiwań marksistów, do których tonu od lat się już przyzwyczaili.

Mimo odsuwania narodu od władzy, nurt jego życia stanowi istotę przemian dziejowych, dokonywających się procesów znamiennych i nad wyraz cieszących.

G. ŚLĄSK PO 14 LATACH

W JEDNYM z ostatnich biuletynów Instytutu Śląskiego dr. St. Komar ogłosił ciekawy szkic o stanie obecnym G. Śląska.

Część gónośląska Woj. Śląskiego obejmuje 3/4 jego obszaru i 5/6 ludności. Jej bogactwa naturalne są olbrzymie, a posiadanie ich przez Polskę gwarantuje jej niepodległość gospodarczą[1]).

Przejęcie przyznanej Polsce części G. Śląska nastąpiło w dniu 15 czerwca 1922 r. Stan tej ziemi był opłakany. Przemysł hutniczy i górnictwo w zupełnym upadku. Kraj wyniszczony zaniedbaniem wojennem, powstańczemi walkami o wolność i akcją plebiscytową. Linje kolejowe zerwane, drogi niekonserwowane w ciągu wielu lat w zupełnej ruinie, brak budynków mieszkalnych. Trzeba było z miejsca zorganizować administrację polityczną, skarbową, szkolną, sądową i celną, z sił naprędce zebranych.

A oto, naprzekór tym trudnościom, bilans prac polskich w ciągu lat czternastu.

Na roboty publiczne inwestowano do końca r. 1935 zgórą 250.000.000 zł. Wybudowano 1198 domków robotniczych, 610 domów mieszkalnych i szkół o 9.876 ubikacjach, Wystawiono poza tem 54 budynki dla urzędów publicznych o 2.084 ubikacjach, 4 olbrzymie i nowoczesne sanatoria i szpitale z 221 salami, 6 szkół średnich i zawodowych i rozbudowano 6 dawnych budynków z 956 salami, laboratorium i t. d. Wzniesiono szereg monumentalnych budowli, jak np. gmach Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego i Sejmu Śląskiego, Zamek p. Prezydenta R. P. w Wiśle, gmach Śląskich Technicznych Zakładów Naukowych, mieszczących w sobie 14 szkół technicznych z 762 salami i laboratoriami oraz budynek Państwowego Instytutu Badania Środków Żywności w Katowicach.

W latach od 1924 do 1935 zbudowano zgórą 251 km dróg bitych. Wydatki na budowę dróg osiągnęły cyfry imponujące. Zacytujmy odnośne cyfry. Wydawano na ten cel rocznie od 2 milj. do 25 milj. zł., a kwoty te wykorzystano nietylko dla budowy nowych dróg, ale przebudowano nowocześnie dalszych 454 km dróg już istniejących oraz ulepszono 375.000 m² nawierzchni pozostałych dróg. Drogi śląskie słynne są ze swej świetności nietylko w Polsce, ale i w innych państwach skąd automobiliści urządzają tu wielkie raidy turystyczne.

Wybudowano w latach 1924—1935 ok. 1.764 m. mostów. Kosztem ok. 14 mil. zł., uregulowa-

---

[1]) W stosunku do ogólnej produkcji polskiej, ciężki przemysł i górnictwo polskiego Górnego Śląska produkuje (stan z ostatnich trzech lat): węgla — 75 procent, koksu — 100 procent, żelaza i stali — 75 procent, cynku — 94 procent, blachy cynk. — 71 procent, ołowiu — 99 i pół procent, kwasu siarkowego — 87 procent, azotniaków — 45 procent, srebra — 100 procent. Jak zatem widzimy, bez Górnego Śląska nie mogłoby być mowy o gospodarczej niezależności Polski, a co za tem idzie i o jej sile politycznej.

no około 84 km biegu rzek. Buduje się nowe urządzenia wodociągowe kosztem 18 mil. zł. Po podziale Śląska należało przystąpić do budowy linij kolejowych, celem połączenia go z resztą państwa. Długość linij kolejowych na Górnym Śląsku polskim w chwili przejęcia wynosiła 625,3 km, od tego czasu wybudowano dalszych 200 km, powiększając dotychczasowy stan o 32 procent.

Na rolnictwo przeznaczono znaczne fundusze, nadewszystko na meliorację, prowadzoną przez 80 spółek melioracyjnych. Kosztem 4.140.000 zł. osuszono zgórą 4.600 ha ziemi. Powołano do życia Śląską Izbę Rolniczą, a wreszcie w r. 1927 założono w Katowicach filię Banku Rolnego, która udzieliła kredytów inwestycyjnych rolnikom do 1.I. 1936 r. w ogólnej kwocie 43.870.000 zł.

Uregulowanie skarbowości Województwa Śląskiego umożliwiło inwestycje. Dochody w budżecie autonomicznym w ostatnich latach kryzysu zmalały. W r. 1929/30 doszły do maksymalnej sumy 162 mil., a w r. 1935/36 wyniosły tylko ok. 70 mil. Tempo inwestycyj zmalało proporcjonalnie.

W bardzo skomplikowanej dziedzinie opieki społecznej uczyniono dużo. Pomoc dla ubogich położnych, wychowanie prewencyjne, zakłady dla głuchoniemych i ślepych, akcja przeciwgruźlicza, kolonie letnie dla dzieci, akcja dożywiania dzieci, poradnie dla dzieci chorych, szpitale dziecięce i t. d., pociągnęły za sobą koszta około 40 mil. zł.

Funkcjonuje na G. Śląsku polskim 41 Kas Chorych z 220.176 członkami. Poza tem istnieją 3 specjalne zakłady ubezpieczeń. Potrzebom chorej, a ubogiej ludności służą liczne szpitale autonomiczne i komunalne. Wielką też opieką darzy się inwalidów. Stworzono Kasę dla inwalidów, która wybudowała w Jastrzębiu-Zdroju sanatorium z 59 salami i 11 ubikacjami mieszkalnemi.

Bezrobotni korzystają, poza opieką państwową, ze specjalnej akcji wojewódzkiej oraz pomocy ze strony władz wojewódzkich w różnych formach. Wydatki związane z tą dodatkową pomocą dla bezrobotnych, osiągnęły w sześciu ostatnich latach cyfrę zgórą 37 mil. zł. Całe Województwo Śląskie pokryło się olbrzymią siecią kuchni dla bezrobotnych (wydających zgórą 100.000 posiłków dziennie), świetlic dla bezrobotnej młodzieży i dla dzieci bezrobotnych rodziców, stacyj odzieżowych, dożywiania dzieci i t. d.

Szczególnie piękną kartą rządów polskich na Śląsku jest rozwój szkolnictwa. Ludność Województwa wynosi około 1.300.000 osób, uczniów zaś w szkołach w r. 1934/35 było 250.000, z tego 201.610 w szkołach powszechnych, 10.319 w szkołach średnich, reszta w szkołach zawodowych, dokształcających i przedszkolach. Dla ilustracji porównajmy stan z r. 1922. Było wtedy na Śląsku przedszkoli 60 z 3.300 dziećmi, w r. 1935 — 296 przedszkoli, dzieci 21.800, w r. 1922/23 — szkół powszechnych publicznych było 503, uczniów 167.000, w r. 1935 — szkół powszechnych publicznych jest 636, uczniów 196.585.

Wypada tu jeszcze wspomnieć o założeniu Instytutu Pedagogicznego dla wyższego kształcenia nauczycieli w Katowicach, o założeniu tamże Konserwatorium Muzycznego i Muzeum Śląskiego, Sekcji Teatrów Ludowych z ok. 300 kołami lokalnemi, oraz o świetnem funkcjonowaniu szkolnictwa dokształcającego. Wszystko to sprawia, że stan oświaty na Śląsku z roku na rok podnosi się wspaniale, przyczyniając się do stworzenia z Katowic ogniska kulturalnego polskich rubieży południowo-zachodnich.

Szkoła polska zyskuje coraz większą moc przyciągania. W roku 1922 było — w szkołach mniejszościowych niemieckich województwa śląskiego 16 proc. ogółu dzieci, w roku 1932 jest ich zaledwie 8 procent, przyczem na rok szk. 1935/36 zapisano z ogółu nowowstępujących dzieci zaledwie 6 procent do szkół mniejszościowych. Ten stan rzeczy świadczy nietylko o podnoszącym się wciąż poziomie szkolnictwa polskiego na Śląsku, który jest jednym z najwyższych w Polsce, lecz i o budzącem się uświadomieniu narodowem także i wśród tych, którzy w latach przedwojennych, wskutek wszechstronnej akcji germanizacyjnej, jakkolwiek pochodzenia polskiego, zwracać się poczęli ku niemczyźnie.

Wraz z całym światem przeżywa obecnie i Górny Śląsk ciężki kryzys gospodarczy. Lecz kryzys przeminie, a Górny Śląsk oddawać będzie nadal Rzeczypospolitej usługi gospodarcze nieocenione i niezbędne, sam z nich równocześnie czerpiąc korzyści, ponieważ rozrastające się jego siły żywotne mają swe źródło w związku z Polską.

NAUKA i LITERATURA

KULTURA I WYCHOWANIE

TRZECI — (rok III. Warszawa 1936) zeszyt „Kultury i wychowania" przyniósł na wstępie pracę prof. Bogdana Nawroczyńskiego „Trzej przedstawiciele pedagogiki pozytywnej w Polsce". Ci trzej to: Henryk Wernic (1829—1905), Adolf Dygasiński (1839—1902) i Jan Władysław Dawid (1859—1914).

Reprezentowany przez nich kierunek, t. zw. pedagogika pozytywna, przeciwstawił romantycznej idei misji narodowej jedyną konieczność uznania rzeczywistości, żądaniu ofiary—codzienny obowiązek. Pogardziwszy uczuciem i fantazją, rozum i wolę otoczył swoistym nimbem. Odtąd już nie szukano natchnień w filozofii idealistycznej, ale praktycznych wskazówek postępowania w naukach ścisłych. Przez wyrzekanie się walki czynnej i wszelkich „mrzonek" tem samem całą ekspansję narodową usiłowano zwekslować na tory szerzenia oświaty, podnoszenia rolnictwa, rzemiosł, przemysłu i handlu. Hasłem, oczywiście także o posmaku niemal mistycznym (jak w każdym ruchu awangardowym), staje się „praca organiczna, praca od podstaw". Nie potrzeba chyba dowodzić, że przeskok od natchnionych wzlotów Hoene-Wrońskiego, Mickiewicza, Trentowskiego — wprost olbrzymi.

A swoją drogą w tej najbardziej „pozytywnej" epoce ileż kryje się idealistycznych założeń, u źródeł ruchu, pragnącego ocalić dla narodu, co się tylko da z pogromu 1863 r.

I tutaj całkowite jednak zdanie egzaminu przez społeczeństwo polskie w t. zw. Kongresówce trzeba tłumaczyć dobrą szkołę myślenia narodowego, jaką dla tej dzielnicy stała się tradycja Komisji Edukacyjnej — czego brak było Małopolsce.

Ze wspomnianej przez autora artykułu trójki pedagogów zaciekawia najbardziej postać Adolfa Dygasińskiego, znakomitego twórcy „Godów życia" oraz mistrzowskich nowel zwierzęcych. Jak się okazuje, był on także wybitnym wychowawcą, nietylko zresztą w teorji, gdyż wykładał w prywatnych szkołach warszawskich, a poza tem na wielką skalę trudnił się domowem bakałarstwem czyli obuczaniem na t. zw. kondycjach mniej lub więcej niedźwiedziowatych wyrostków (*species* Bombińscy). Nietylko takich, coprawda,

gdyż pomiędzy jego wychowankami należy wymienić Jacka Malczewskiego.

Dygasiński, zresztą z pożytkiem dla literatury pięknej, nie wytrwał w zawodzie nauczycielskim: rzucił go w r. 1895 i wziął się wyłącznie do pisania.

Jest mniej skrajnym pozytywistą, niż taki np. Wernic, ale też nie ma w sobie ducha nowych czasów, co znów w tak dodatni sposób charakteryzuje umysłowość najwybitniejszego z nich wszystkich pedagoga, Jana Władysława Dawida, twórcy metody indywidualnej w wychowaniu, po raz pierwszy szeroko na naszym gruncie stosującego zdobycze psychologji eksperymentalnej.

Kazimierz Sośnicki w pracy „Treść nauki a światopogląd polityczny" kontynuuje swe wywody z poprzedniego zeszytu (uzupełnienie ich znajdziemy w następnym). Twierdzi, że w społeczeństwach cywilizowanych rodzajom nauk odpowiadają rodzaje myślenia politycznego, w zależności od gatunku uprawianej tresury umysłu. W tym sensie możemy mówić o następujących odmianach politycznego światopoglądu: historycznym, przyrodniczym i teologicznym.

Pierwszy opiera się na przekazach przeszłości narodu, a więc za dewizę przyszłego działania przyjmuje „linję historyczną". Z historji bowiem czerpiemy mądrość życia i tradycyjny ustrój społeczny. A jedynem kryterjum słuszności postępowania, we wszystkich stosunkach społeczno-państwowych staje się honor i interes rodu, organicznie rozszerzony na honor i interesy narodu — jako całości i jedni w czasie. W tych warunkach jednem z najważniejszych zadań do spełnienia staje się zachowanie i utrwalenie charakteru rodowego czy narodowego, z całą jego niestartą patyną wieków. Domyślamy się już sami, że stąd bliski krok do kultu bohaterów, jako pierwszorzędnego środka wychowawczego, a dalej nawet do idealizacji i gloryfikacji przeszłości.

W naszych czasach jesteśmy świadkami starcia się tendencji historycznej z myśleniem przyrodniczem, co znalazło swój wyraz w szeregu procesów „odbronzowiających".

W dalszym ciągu—myślenie historyczne główną wagę kładzie nie na zagadnienia praktyczne i gospodarcze, chyba takie, które zawierają elementy powagi i trwałości, a zostały usankcjonowane przez tradycję (np. zagadnienia związane z rolnictwem). Naturalną konsekwencją tego typu myślenia jest—według autora—kastowość i wiara w najwyższy autorytet, a nawet tęsknota za jednostką genialną—przywódcą mas.

Myślenie historyczne wymaga, jako podkładu, kultury humanistycznej oraz pewnej zdolności kontemplacji. Nic dziwnego, że spotykamy się z niem zazwyczaj wśród intelektualistów, mało mających wspólnego z życiem aktywnem.

Inaczej ma się rzecz z myśleniem przyrodniczem' Światopogląd polityczny oparty na tak skonstruowanej podstawie czerpie przedewszystkiem z teraźniejszości, w żadnym razie nie z przeszłości, którą uważa za siłę, krępującą swobodny rozwój i postęp (przez duże P). A więc wszystko wbrew tradycji, ze względu wyłącznie na materjalny dobrobyt człowieka i coraz dalsze opanowywanie tajemnic przyrody. Oto, wybitnie utylitarne zadanie i cel życia ludzkiego.

Całości zeszytu dopełniają: „Metoda nauczania szkolnego a kryzys kultury" ks. Jana Stepy, „Behawioryzm. Nauczanie-Wychowanie" ks. Piotra Chojnackiego i wreszcze nadzwyczaj miła inowacja—głosy młodzieży.

Na pierwszy ogień poszły szczere, a bezpretensjonalne wypowiedzi pp. Jerzego Pietrkiewicza i Andrzeja Mikułowskiego: spowiedzi światopoglądowe, jeśli je takiem mianem można ochrzcić.

ST. J.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Ukazała się na półkach księgarskich książka niezwykła, bo mówiąca nam o książce. Autorem jej jest znany bibliograf i bibliofil dr. Jan Muszkowski, a tytuł dzieła brzmi zagadkowo choć krótko: „Życie książki". Jakież książka ma życie? A właśnie ma i to wcale nie monotonne, jakby się napozór zdawało, a kto nie wierzy, niech się zapozna z wymienioną pracą d-ra Muszkowskiego, którą się czyta, jak zajmującą powieść, tak umiejętnie umiał autor zobrazować takie napozór suche kwestje, jak: Pismo,—Materjał i forma zewnętrzna rękopisów,—Rękopis biblioteczny,—Początki i rozkwit drukarstwa, — Rodzaje wydawnictw i ich klasyfikacja,—Autor i nakładca,—Handel księgarski,—Konsumpcja książki.—Książka w bibljotece.—Służba informacyjna.—Typy, środki i tereny działania oświatowego. — Książka w akcji oświatowej.—Badanie czytelnictwa.

Wszystko to są zagadnienia, interesujące nietylko specjalistów ale i każdego kulturalnego człowieka, dlatego też spodziewać się należy, iż „Życie książki" znajdzie spory zastęp czytelników, na co z pełną znajomością przedmiotu opracowane dzieło d-ra J. Muszkowskiego najzupełniej zasługuje.

*

„Bibliotheca Universitatis Liberae Polonae". Serja B. Nr. 2 (25), Stefan Truchim: „Geneza szkół realnych w Wielkiem Księstwie Poznańskiem". Warszawa. Wydano z zasiłku min. Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Skład główny Gebethner i Wolff, 1936.

Jeden z ciekawszych tomów „Bibljoteki Wolnej Wszechnicy", mającej już w swoim dorobku 15 wartościowych pozycyj. Nosi zresztą na sobie wszystkie cechy pracy seminaryjnej, przyczynkowej, dalekiej od szerokich rzutów i rozległych syntez historycznych. Trzyma się zato ściśle obranego toru, nie zbacza od tematu i przynosi w ostatecznym rezultacie wiele cennych informacyj z zakresu historji szkolnictwa i obyczajowości społecznej.

O sumienności historyka świadczy fakt nie ulęknięcia się dodatkowego trudu podmalowania w tle obrazu szkół realnych w Niemczech. Było to konieczne metodycznie ze względu na przedstawienie genezy takiego szkolnictwa w W. Ks. Poznańskiem.

Interesuje nas dziś w studjum p. Truchima to, co pisze o języku polskim w szkołach W. Księstwa Pozn., o udziale takich ludzi, jak Edward hr. Raczyński, Libelt i Marcinkowski w dziele unarodowienia oświaty, nie mówiąc już o tak kapitalnych dla każdego pedagoga zagadnieniach, jak problem wychowania obywatela, czy też pracy fizycznej jako czynnika uszlachetniającego—charakterystycznych cech szkół realnych, na które kładziono nie mniejszą wagę, niż na samą instrukcję naukową.

Możemy sobie na podstawie niniejszego szkicu rekonstruować obraz całości wychowania w dawnym zaborze pruskim, zwłaszcza, gdy mamy na myśli nieodłączne od typu dzisiejszego Poznańczyka sposoby myślenia i metody postępowania.

Praca p. Truchima pisana żywo i zajmująco. (ST. J.)

*

W Siedlcach zaczęło w tym roku wychodzić czasopismo „Przyjaciel Podlasia" pod redakcją Czesława Dmowskiego. Skromne w rozmiarach wychodzi na razie raz na miesiąc. Obecnie ukazał się nr. 3—4 (lipiec—sierpień), zawierający na czele bardzo dobry artykuł „W 16-tą rocznicę cudu Wisły" i szereg innych artykułów aktualnych, związanych z życiem ziemi siedleckiej. Kierunek polityczny pisma konsekwentnie i szczerze narodowy, myśl wyrażona jasno, dobrą polszczyzną a zupełnie popularnie, w sposób dostępny dla najszerszych sfer. Oddawna już Siedlce nie miały w prasie tak dobrej reprezentacji. Nowemu posterunkowi prasowemu życzyć należy powodzenia. Prenumerata roczna zł. 1.20. Cena n-ru 10 gr. Adres redakcji: Siedlce, Janowska 35a.

FILM

STYLOWY: „Robin Hood z El Dorado".

Z historją romantyzmu koń związany jest nierozdzielnie. Mówi się „romantyczny pęd" i z tem określeniem łacno się kojarzy obraz pędzącego rumaka. To też w filmie, opisującym przygody awanturnika Robin'a Hood'a, w Meksyku i Kalifornii, w latach czterdziestych ubiegłego stulecia, koń właściwie odgrywa główną rolę. Szalone galopady, brawurowa jazda, pościg, gonitwy, sceny walk i utarczek—wszystko to tętni życiem prawdziwem, ma rozmach i niefałszowany temperament. Do całkowitego efektu tych scen przyczyniła się niemało znakomita amerykańska technika filmowa, gdyż w pracy nad filmem nie dość jest wie-

dzieć czego się chce, trzeba mieć jeszcze środki techniczne po temu, by swe pomysły w sposób ciekawy plastycznie zrealizować. Już to trzeba przyznać, iż bijatyki, walkę, wogóle sceny zbiorowe w ruchu, umieją Amerykanie robić i reżyserzy europejscy mogą się od nich, w tym zakresie, sporo nauczyć. Dość porównać wspomniane fragmenty ze scenami zbiorowemi z niemieckiego filmu „Ucieczka", wyświetlanego niedawno w jednem z kin, by się przekonać o tem, jak różną jest ta umiejętność w obu wypadkach.

Robin Hood, pełen dynamiki ruchu, przypomina w tem dobre tradycje filmu niemego. Jest to utwór bardzo przyjemny, okraszony pozatem kilkoma pomysłami dobrej klasy artystycznej, jak np. montażowe skróty „mobilizacji" bandy obwiesiów, krzak jaśminu, roniący kwiaty na ciało wyrzuconej z domu przez napastników staruszki i t. p. Niepotrzebnie tylko reżyser począł się babrać w jakiemś niby zagadnieniu: czy Robin Hood jest szlachetnym awanturnikiem, czy tylko zwyczajnym bandytą? Całą tą „filozofię" należało pozostawić w spokoju, poprzestając na wartościach plastycznych obrazu.

Stosownie do treści, rodzaju i atmosfery filmu, bohater jest dziarski i wierny aż do grobu, a bohaterka słodka i śliczna jak anioł albo marzenie.

MAJESTIC: „Mały król", reż. Tay Garnett.

Niepozbawiona humoru i sentymentu historia o 10-letnim królu, porwanym przez amerykańskiego pułkownika (łowcę przygód) na rozkaz partii patriotów (wszystky się dzieje w jakiemś zmyślonem państwie, oczywiście gdzieś na Bałkanach). Młodociany król został porwany na niby i na pewien czas tylko, aby podczas jego nieobecności utrącić wpływy kamarylli dworskiej. „Krótkie spięcia" komizmu wynikają z zestawienia bezceremonialnej rubaszności amerykańskiego zabijaki z etykietą dworską i z uciechy smarkatego monarchy, któremu aż się oczy świecą do przygód w towarzystwie — jak to sobie wyobraża — gangstera. Źródłem sentymentu staje się późniejsze przywiązanie rubachy-pułkownika do koronowanego malca.

Film odpowiedni dla młodzieży, zwłaszcza gdy główną rolę gra mały aktor Freddie Bartholomew, mam zastrzeżenie tylko co do jednej sceny. Oto pod koniec pułkownik, gaduła, kolorysta, słowem „myśliwy", ratując malca z opresji, wyczynia cudeńka z karabinem maszynowym, karabin trajkocze, żołnierze padają jak manekiny, pułkownik-wirtuoz rży z uciechy. Ujęcie tej sceny jest niedość groteskowe, by oddzielić ją całkowicie od zabijania na serio. Dzielność i męstwo to piękne cnoty, daleki jestem od wpajania dzieciom haseł mazgajskiego pacyfizmu, ale poco wmawiać młodzieży, że zabijanie to sport i w dodatku bardzo zabawny.

Reżyserja dobra.

CAPITOL: „Mały lord Fauntleroy", reż Cromwell.

Film z tym samym aktorem, F. Bartholomew, i o pokrewnych założeniach. Znowu efekty komiczne daje skontrastowanie dwu światów: amerykańskiego, bezceremonjalnego poczciwca, z atmosferą domu angielskiej arystokracji. Dobroduszni sklepikarze z Chicago nieco opaczne mają pojęcie o lordach. Z bagażem podobnych wiadomości jedzie mały smyk, urodzony w Ameryce do swego dziadka do Anglii. Dziadek jest despotą i egoistą. Lecz dziecięca wiara i ufność w dobroć ludzkiego serca każe wyrastać kwiatom miłości na jałowej dotychczas glebie.

Takie są tendencje filmu, z tych względów b. odpowiedniego dla młodzieży. Dla tych samych względów patrzymy przez palce na pewne jego usterki: zbytek dialogów i zbyt obfite wygrywanie sensu filmu właśnie dialogami.

Cały film b. ciepły i nasycony uczuciem, efekty komiczne przeprowadzone w sposób dyskretny.

ROMA: „Dinky", film amerykański.

Wyobraźmy sobie, że jakiś jegomość wyłazi na scenę, czy też podium i powiada: „wzruszająca jest, proszę państwa, wzajemna miłość i przywiązanie matki do dziecka". „Racja" — przytakną mu wszyscy — „ale o co panu chodzi?"

Otóż, jeśli chodzi o sztukę, ona nie boi się wygłaszania prawd wszystkim już znanych, ale wtenczas, gdy ma po temu środki, by starą prawdę każdym razem innemi, nowemi słowami, opowiedzieć. Im głębsze i piękniejsze jest opisywane uczucie, tem środki te, u doświadczonego artysty, są dyskretniejsze, a sposoby wypowiedzi powściągliwsze. Nic nie może tu być bardziej groźne od rutyny, gdyż rutyna jest skostnieniem formy artystycznej, a martwe formy nigdy nie wyrażą zawsze żywego uczucia.

Autorzy amerykańscy filmu „Dinky" popełnili wielki błąd, używając do opowieści o jednem z najpiękniejszych uczuć ludzkich, najbardziej wyświechtanego filmowego szablonu. W rezultacie o filmie można powiedzieć to samo, co o niektórych ludziach: poczciwy, ale nudny. Rozumiemy, iż dyrekcja, mieszczącego się w Domu Katolickim kina „Roma", zdecydowała się na ten utwór w słusznej trosce o to, by dostarczona publiczności rozrywka miała treść godziwą, w tym wypadku jednak zacne tendencje filmu zbyt przesadnie już górują nad innemi jego walorami.

Do bardziej interesujących i żywych fragmentów „Dinky" należą sceny meczu rughby i dekoracyjne obrazy ćwiczeń kadetów szkoły morskiej.

Nadprogram ciekawy.

KANDYD

ZMARLI

JULIETTE ADAM

W KOŃCU ubiegłego tygodnia rozstała się z tym światem pani Juliette Adam, która przez długie lata (urodzona 1836 r.) odgrywała w życiu literackiem i politycznem Francji bardzo wybitną rolę. Zmarła zasłynęła wcześnie jako powieściopisarka i uchodziła za kontynuatorkę pani George Sand (powieści *„Mon Village"*, *„Récits d'une paysanne"* i in.)

Nie beletrystyka wszakże uczyniła ją sławną we własnym kraju, jak i w świecie, lecz polityka, której p. J. Adam oddała się całą duszą, zwłaszcza po klęsce Francji 1870 r.

Myśl o odwecie stała się odtąd głównym motorem jej życia i działalności. Jej dom był przez długie lata jednym z ośrodków czynnego patriotyzmu. W 1879 r. założyła p. J. Adam miesięcznik *„La Nouvelle Revue"*, którego sama była redaktorką i swojemi biuletynami politycznemi uczyniła wyrazicielem niezmiennych roszczeń Francji do Alzacji i Lotaryngii. Z tych czasów pochodzą jej, b. ważne do poznania ówczesnego życia politycznego Francji, wspomnienia osobiste, zawarte w książkach *„Après l'abandon de la Revanche"* i *„Mes amitiès politiques et littéraires"*.

W sędziwym wieku, otoczona powszechnym szacunkiem, pozostawia zmarła po sobie pamięć gorącej patriotki, oddanej przez całe życie wielkości i chwale swojej ojczyzny.

(W. J.)

W ROZMÓWNICY

Otrzymaliśmy list następujący:

MYŚLENIE JEST PROCESEM AGLOTYCZNYM

o ile nie zależy myślącemu na tem, ażeby się porozumieć z innymi. Sam ze sobą może załatwiać się umysłowo myślą bezsłowną. W człowieku jest niezmiernie więcej myśli dla siebie niż dla innych. Między myślami dla siebie są i myśli mówione, względnie słyszane wewnętrznie. Ale że są w człowieku myśli, które nie są mówione względnie słyszane — a które są dla umysłu najzupełniej zrozumiałe, dowód w t. zw. afazjach, zahaczeniach mowy. Taki afatyk przysłuchuje się rozmowie, po oczach i zachowaniu się widać, że rozumie, ale gdy chce sam coś powiedzieć, (a wie co ma powiedzieć), to nie umie „znaleźć słowa" (słowa przelatują przed nim tłumnie i tak szybkim pędem, że niezmiernie trudno mu pochwycić odpowiednie słowo): jest więc myśl bez słów. Ale w mniejszym stopniu zna każdy przykre uczucie wiedzy przy trudności wyrażenia się. To przykre uczucie powstaje wtedy dopiero, kiedy zależy na wyrażaniu się; bez tego przymusu niezmiernie wiele myśli płynie przez głowę, które są aglotyczne. Naogół treści myślane i formy mówione przylegają do siebie, ale nie zawsze i nie wszędzie. Dlatego tylko może — jak poeta stwierdził — „głos myślom kłamać", dlatego nieprawdą jest jakoby problematy formy mogły pochłonąć problematy treści: są bowiem treści, świadome i wyższe, które egzystują bez formy.

K. L. K.

POKŁOSIE

ODŻYDZANIE NIEMIEC

NA KRÓTKO przed wielką wojną jedno z syjonistycznych Towarzystw studenckich zaprosiło znakomitego ekonomistę niemieckiego W. Sombarta do Lwowa na wygłoszenie odczytów o sprawie żydowskiej, do czego autor głośnego dzieła o roli żydów w rozwoju gospodarczym świata był niewątpliwie powołany. Odczyty były bardzo interesujące i stanowiły one (tak niedawne to czasy!) często rewelację: były to przecież dopiero nieśmiałe początki badań nad żydami i ich stanowiskiem i wpływem w społeczeństwach europejskich.

Sombart zastrzegł się na początku, że nie jest wprawdzie pochodzenia żydowskiego, jak to niektórzy insynuują, lecz nie jest również antysemitą. Jakże bym nim mógł być w Niemczech,—mówił—gdyby nie było u nas żydów, to kto kupowałby u nas książki i obrazy, kto chodziłby do teatrów i na koncerty?

Było to powiedziane w tonie żartobliwym, ale widać było, że uczony niemiecki czuje się dość nieswojo, gdy mówi o tej preponderancji żydowskiej w kulturalnem życiu swego kraju. A o roli w życiu gospodarczem zaraz też powiedział wiele ciekawego i przytoczył cyfry, z których wynikało, że gdy żydzi stanowią w Niemczech około jednego procentu ludności, to w zarządach Towarzystw akcyjnych i w radach zarządzających procent ich dochodzi do 25, czyli jednej czwartej... Ten jeden procent ważył więc faktycznie znacznie więcej i zaczynał w świadomości Niemców stanowić „kwestję". Tembardziej, że dość silna asymilacja nie rozwiązywała jej, gdyż na miejsce zniemczonych i zasymilowanych napływały nowe, świeże kontyngenty ze wschodu. Asymilacja przez małżeństwa mieszane nie dawała też dobrych rezultatów pod względem rasowym czy biologicznym: bardzo często już w drugiem pokoleniu występowała bezpłodność, lub też potomstwo o wybitnie zakłóconej równowadze psychicznej i umysłowej.

Rządy hitlerowskie przedsięwzięły, jak wiadomo, radykalne rozwiązanie kwestji żydowskiej, bez względu na to, kto będzie kupował książki i chodził na koncerty. Owszem, ten właśnie wzgląd, że żydzi decydują o twórczości artystycznej i życiu kulturalnem był główną bodaj podnietą do podjęcia zdecydowanej kampanji. Jak się to tam teraz przedstawia?

Wyszło właśnie niedawno opracowanie cyfrowe tej kwestji, zaś autorem publikacji jest żyd, dr. Traub, więc źródło nawet dla żydów niepodejrzane. Dowiadujemy się od niego, że w Rzeszy niemieckiej, w jej nowych granicach, było przed półczwarta rokiem, kiedy Hitler dochodził do władzy, ogółem 517 tysięcy żydów. Na 1 lipca bieżącego roku zostało ich 405 tysięcy, a więc w ciągu tych lat ubyło około 21 procent, czyli więcej niż piąta część. Ubytek ten składa się z 14 tysięcy zgonów i 98 tysięcy emigrantów. Zauważmy zaraz, że liczba emigrantów Żydów z Niemiec przewyższa znacznie ich emigrację z Polski w tym samym czasie, mimo iż masa Żydów w Polsce jest przeszło sześć razy większa niż w Niemczech. Represje hitlerowskie okazały się więc znacznie skuteczniejsze, niż zew Palestyny.

Syjoniści uważają, że okres masowej, panicznej emigracji z Niemiec jest zakończony i teraz główną rolę w kształtowaniu się liczebności Żydów w Niemczech obejmują normalne czynniki demograficzne, ale pod tym względem żywioł żydowski jest w położeniu niekorzystnem, gdyż odpłynął głównie element młodszy i społeczeństwo Żydów niemieckich wybitnie się przez to postarzało: więcej niż połowa Żydów w Rzeszy to ludzie liczący powyżej 45 lat życia, więc nadzieje na przyrost naturalny są bardzo nikłe. Część ludności żydowskiej, licząca od 18 do 40 lat, wynosi obecnie około 110 tysięcy i z tej liczby ogromna większość prawdopodobnie stopniowo w najbliższych latach wyemigruje. Pozostanie więc tylko masa starsza, skazana na wymarcie. Według obliczeń autora za pięć lat liczba Żydów stopnieje do 200 tysięcy, a z nich 130 tysięcy to będą ludzie starsi niż 45 lat, jeszcze więc parę lat, a ludność żydowska zejdzie do zupełnie nieznacznej roli.

Tak się przedstawia sprawa pod względem ilościowym. A jakościowo?

Otóż ci co kupowali książki, a raczej wydawali je i pisali o nich, i ci co decydowali o teatrach i koncertach, ci wyemigrowali prawie co do jednego. Przerzedziła się również nadzwyczajnie rzesza żydowska w wolnych zawodach, wśród lekarzy, adwokatów i t. d. Wielu wyemigrowało, pozostali wycofali się przeważnie z życia czynnego, bardzo zresztą utrudnionego przez rozmaite przepisy i ograniczenia i żyją na emeryturze, z uzbieranych dawniej środków. Najliczniej jeszcze reprezentowani są Żydzi w kupiectwie i w handlu i w tych dziedzinach likwidacja postępuje bardzo powoli, lecz postępuje chociażby jako zjawisko ubytku naturalnego.

Jak wiadomo, wyeliminowanie kulturalnego zaczynu żydowskiego z życia społeczeństwa niemieckiego miało sprowadzić ogólne obniżenie się poziomu kultury Niemców. Ano, zobaczymy. Na razie wydobywają się na wierzch twórcy przez wszechwładną dotychczas prasę żydowską zaszczwani, lub przemilczani. Zobaczymy co z tego wyniknie.

Za jakiś lat dziesiątek po „kwestji" żydowskiej w Niemczech śladu nie będzie. Już dziś Niemcy mogą spuścić się na działanie naturalnych sił przyrostu i ubywania ludności. Jakże inaczej jest u nas! Przyrost naturalny Żydów jest u nas mniejszy, niż katolików, wynosi bowiem 9,8 na tysiąc gdy u katolików jest 13,5 na tysiąc. Ale gdybyśmy czekali do tego czasu, kiedy ta różnica sprowadzi liczbę Żydów do nieznacznego procentu ogółu ludności, to doczekalibyśmy się tego, że i liczba katolików będzie nieznaczna w Polsce w porównaniu z prawosławnymi, którzy mają przyrost 16,1 na tysiąc... Emigracja do Palestyny będzie, jak się zdaje, zamknięta, albo doprowadzona do minimalnych granic. Już w tym roku spadła o połowę w porównaniu z zeszłym: w ubiegłym roku wyemigrowało w pierwszem półroczu przeszło 12 tysięcy, w bieżącym tylko sześć.

A możeby tak Australia? Toczą się tam teraz debaty nad koniecznością doprowadzenia ludności do 20 milionów i otwarcia w tym celu wrót dla imigrantów. Jednym z powodów jest wzgląd na obronę kontynentu przed inwazją np japońską. Do tego Żydzi możeby się mniej nadawali, ale zato zaczyna się tam teraz kampanja masowego, naukowego tępienia królików, będzie więc niesłychanie zasobny rynek na zajęcze, a raczej królicze skórki. Szkoda, że dowcipem nie da się tej sprawy załatwić.

ARGUS

NA MARGINESIE

W cukierni na Dzikiej:
— Znowu pogrom naszych.
— W Palestynie niby?
— Ja mówię o Sowietach. Co one robić będą z polityką światową bez naszych polityków: Trockiego, Apfelbauma, Rosenfelda, Sobelsona .. Powinęła się nam noga w Hiszpanji, ale co jest?
— Ja zawsze mówiłem: po co było zabijać Gosudara Imperatora!

*

Między publicystami:
— Kiedy widzę, że ktoś operuje wyrazem „Żyd", to odrazu poznaję, że to pisze świnia.
— Teraz rozumiem, dla czego nigdy tego wyrazu nie używasz. Nie chcesz, by cię poznano.

*

Zmieniają się czasy. W filosemickim dotąd „Kurjerze Wileńskim" czytamy taki ustęp:

„... Radek, piszący o Rosji w imieniu Rosji, Rosji, której nie znał, której języka nawet nie potrafił się nauczyć. Ten Radek, przemawiający w imieniu Rosji i żydzi warszawscy, witający go w imieniu Polski, to była jedna z tych komedyj historycznych, której zbyt długo grać nie można. Dziś ten syn tarnowskiego *ghetta* opłakuje może na pryczy bynajmniej niesłodkiego moskiewskiego więzienia, swój niepotrzebny wyjazd z Tarnowa".

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.